TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 19 (167)
Łódź, 14 -V.
1961 r.
cena
1 zł

odgłosy

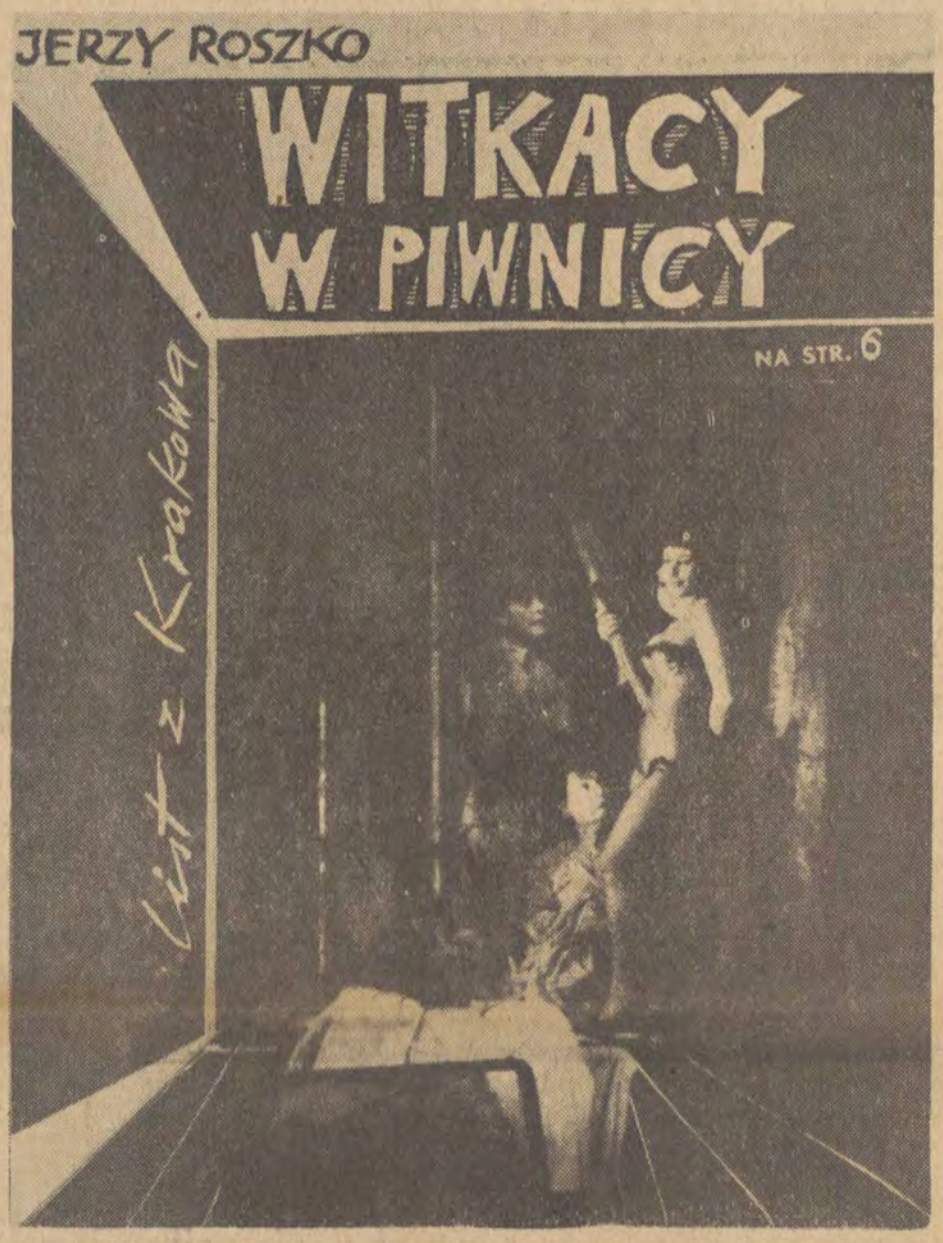

Fot. W. Biliński

MAREK WAWRZKIEWICZ

MY i ŚWIAT

To była matura doskonała. W szparach podłogi sali gimnastycznej gdzie odbywał się egzamin pisemny z matematyki najczujniejsze oko nawet nie dostrzegłoby śladów zamaskowanej sieci telefonicznej. Każdy z maturzystów w rękawie odświętnej marynarki chował słuchawkę radiową. Z siecią łączył się przez blaszkę przybitą do buta, od której cienki przewód prowadził właśnie do słuchawki. W parku zaś za szkołą otoczoną czujnymi bojówkami działała centrala telefoniczna. Obok niej „trust mózgów" — maturzyści z poprzednich lat, studenci, naukowcy rozwiązywali zadania, które wyniosła z sali jedna z profesorek. Koledzy obliczali, koledzy przekazywali, koledzy w końcu dla uspokojenia nerwów walczących maturzystów nadawali im pogodne melodie taneczne. Tak, to naprawdę była matura doskonała.

A zresztą, może to tylko wyolbrzymiona legenda, może było zupełnie inaczej. To nawet nie takie ważne. Ważny jest temat: matura. Kiedy spotkasz po wielu latach kolegę, z którym chodziłeś kiedyś do szkoły, to zazwyczaj mówicie o innych kolegach z tej samej klasy, o

Dokończenie na str. 2

HENRYK ANDERS

KOŁO się kręci

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

(4)

Ja, broń Panie Redaktorze, nie o tym kole, co ma być wiecznym symbolem cywilizacji, chociaż — jako żywo — słyszałem, że poniektóre bez koła się obywały. Ani też o wyścigach kolarzy, bo oni kręcą tylko w sezonie, a jak kręcą, coś z tego mają. Ale ja także, o Czcigodny, jestem cyklistą (od cykl) i dlatego głos zabrać muszę w dyskusji nieustającej, czyli o polityce kulturalnej.

Idzie ku lepszemu, możemy sobie powinszować. Wąziutkie mam wprawdzie ze swego kącika pole widzenia, ale przecież widzę. Pod płotkiem, obok podwórzowej ubikacji stoi ławeczka, a na ławeczce, na świeżym powietrzu dwóch obywateli zagrywa w „damkę". Grywają tak od rana do wieczora, świątek i piątek, od dwóch lat w asyście wiernych kibiców. Przedtem grywali w „oko", czasem coś pociągnęli z butelki, a czasem i do rękoczynów dochodziło. A teraz nic, cicho i grzecznie, tylko radio z drugiego piętra, piekielna maszyna, obwieszcza wszem wobec, co się dzieje w Jezioranach. Ale zaraz się skończy i radio wyłączą. A meczu dziś nie ma, więc i komunikatu słuchać nie będą.

Podobno na Sycylii, p'sze o tym Iwaszkiewicz, wiosenną porą kobiety rzędem na murku przy szosie siadają, koronki dłubią i o sprawach wzniosłych radzą. A u nas, to kobiety na podwórku nie obaczysz starej ani młodej. Dziwny jakiś naród, ponury. Wciąż tylko w kuchni, albo w pralni. Wcale o duchowe potrzeby nie dbają. Nie to, co my, mężczyźni.

Ot, na przykład na kiermaszu książki. Kręciło się przy kioskach parę mamuś z dziećmi, trochę starszych panów, ale za to cała gromada chłopaków — ani jednej

(Dokończenie na str. 2)

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

PRAWDA O SMOKU SIEDMIOGŁOWYM

Analfabetyzm pogrzebano blisko dziesięć lat temu. Pamiętam, że zrobiono to nawet dość uroczyście. Tymczasem analfabetyzm, bestia, wylazł z grobu i straszy. Kogo straszy? Przede wszystkim władze oświatowe. Sami analfabeci są raczej nieulękli. Smutne to ale prawdziwe.

* * *

— Halo, Zakłady Westerplatte?

— Tak, dział personalny, słucham.

— Czy w waszych zakładach są ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?

— Chodzi panu o analfabetów, tak?

— Tak, o analfabetów.

— Owszem, są. Przeważnie starzy, ale są.

* * *

Na pierwszego stycznia 1961 r. zanotowano w łódzkich zakładach uspołecznionych 311 osób do 35 roku życia (!) bez ukończonych klas pierwszej i drugiej oraz 2639 osób do 35 roku życia bez ukończonych klas trzeciej i czwartej (oczywiście mowa tu o klasach z zakresu szkoły podstawowej). Dokształcało się z tego tylko ok. 300 osób, w tym najmniej tych, którzy nie ukończyli klas pierwszej i drugiej, czyli analfabetów.

Według najświeższych danych mamy w Łodzi 6653 osoby od 16 do 50 roku życia bez ukończonej klasy czwartej w zakładach uspołecznionych i 1839 osób w tych samych granicach wieku bez ukończonej klasy czwartej w gospodarce nieuspołecznionej. Z tych 8492 ludzi bez ukończonej klasy

(Dokończenie na str. 5)

KAROL BADZIAK

DLACZEGO GAGARIN nie mógłby wylądować W ŁODZI?

Zanim odpowiem na to pytanie pragnę przypomnieć, że kilka lat wstecz zdarzyła się nad Łodzią katastrofa lotnicza. Samolot lecący zbyt nisko zawadził skrzydłem o druty linii wysokiego napięcia i runął na ziemię. No cóż? Katastrofy lotnicze nie są czymś nowym, zaczęły się zdarzać od momentu gdy pierwsze aeroplany wzbiły się w niebo. O katastrofach w ogóle i katastrofach lotniczych dowiadujemy się dość często, a mimo to ludzie podróżują nadal i coraz częściej. Jedynie przezorny Jan Kiepura unika owego wehikułu XX wieku jakim jest samolot. Ale kiedy jest zmuszony do tego desperackiego czynu (często wraz z żoną) wówczas oboje lecą różnymi samolotami. Zwykli śmiertelnicy przeważnie nie stosują tej metody. Dotyczy to również łodzian. Katastrofy, katastrofami, a ludzie latają i

zbyt wiele się nie przejmują. Tyle, że wierzący wsiadając do samolotu polecają się swoim bogom i pilotowi, a niewierzący pilotowi i technice.

Inaczej jednak na to samo wydarzenie zareagowały władze lotnictwa cywilnego. Zaczęły się bliżej przyglądać lotnisku, zaczęły badać, liczyć, analizować i wykonywać szereg żmudnych a niezbędnych w takich wypadkach czynności, które po kilku latach złożyły się na decyzje likwidacji portu lotniczego w Łodzi. Oczywiście, ową niefortunną katastrofę należy traktować jako prażródło tej decyzji, gdyż po kilku latach takich dociekań ludzie zapominają o faktycznej przyczynie, która te dociekania spowodowała, a pozostaje tylko sama idea, w tym wypadku idea zamknięcia portu lotniczego. Dla realizacji tej idei skomasowano w ciągu kilku lat szereg miażdżących argumentów, które w sumie zadecydowały o ostatecznym wyniku.

Mądrość ludowa tę samą myśl formułuje w następującym porzekadle: „Kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie". Na dobrą sprawę gdybym rzucił hasło zaorania ulicy Piotrkowskiej i posiania na tym miejscu pietruszki znalazłbym na to sto racjonalnych argumentów. Po pierwsze Miejskie Przedsiębiorstwo Autobusowe zaoszczędziłoby na eksploatacji autobusów, po drugie w statystyce wypadków znikłaby rubryka: „wypadki na Piotrkowskiej", po trzecie uprawa pietruszki to zieleń, a zieleń to płuca miasta, płuca to zdrowie, no i pietruszkę można eksportować, a eksport to dewizy, po czwarte... po piąte... po dziesiąte... i setne.

Ciężar gatunkowy argumentów, które przytoczono rozważając problem likwidacji portu lotniczego na Lublinku zapewne był bardzo duży i dorównywał skali problemu, ale sam system argumentacji? Metoda była taka jak z tą pietruszką.

ARGUMENT PIERWSZY CZYLI TRADYCYJNY

Łodzi port lotniczy jest niepotrzebny, gdyż niedaleko w Warszawie jest podobny port, z którego łodzianie mogą bez trudu korzystać.

ARGUMENT DRUGI CZYLI TECHNICZNY

Łódzkie lotnisko jest przestarzałe, posiada zbyt krótki pas startowy, a ponadto nachylenie pasa jest niewygodne do lądowania.

ARGUMENT TRZECI CZYLI UNIWERSALNY

Łódzkie lotnisko usytuowane jest zbyt blisko miasta,

ARGUMENT CZWARTY CZYLI CHARAKTERYSTYCZNY

Łódź jest miastem kominów, które niebezpiecznie wystają ponad otoczenie, stwarzając potencjalne niebezpieczeństwo dla szybujących samolotów.

ARGUMENT PIĄTY CZYLI EKONOMICZNY

Łodzianie nie są przyzwyczajeni do latania samolotami. Miasto dostarczało zbyt mało pasażerów PLL „Lot".

ARGUMENT SZÓSTY CZYLI OSTATECZNY

Samolotami nie lata klasa robotnicza tylko różni dyrektorzy, inicjatywa prywatna i kapitaliści zagraniczni, odwiedzający polskie centrale handlowe, których w tym mieście nie brak. (oczywiście, central).

* * *

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT TRADYCYJNY

Racja, Łódź leży niedaleko Warszawy i ma świetne połączenie kolejowe, ale rozkład lotu tak jest pomyślany, że samoloty z Okęcia startują przeważnie między godziną 6.30 a 8.30 rano, a poranny pociąg pośpieszny wychodzący z Łodzi o 6.22 jest w Warszawie parę minut po 8.00. Dodać do tego 40 minut na przebycie drogi z dworca Śródmieście na Okęcie i nici z podróży jak mówią w włókienniczym grodzie. Chcąc więc lecieć z Łodzi do Szczecina, Rzeszowa, Berlina czy Pragi, należy wyjechać do Warszawy dzień wcześniej, przenocować w hallu „Bristolu" czy „Grand Hotelu", gdyż wszystkie miejsca w warszawskich hotelach są z reguły zajęte i dopiero rano udać się autobusem na Okęcie. Praktyczny i rozsądny łodzianin woli więc tę noc spędzić w pociągu i rano być u celu swej podróży.

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT TECHNICZNY

Łódzkie lotnisko powstało na parę lat przed drugą wojną światową, ponadto w czasie okupacji zostało rozbudowane i zmodernizowane. Jest więc lotniskiem w stosunku do innych lotnisk tego typu względnie młodym. Oczywiście nie jest lotniskiem na wskroś nowoczesnym i dostosowanym do startowania i do lądowania samolotów odrzutowych. Ale zarzut ten można postawić wszystkim portom lotnictwa cywilnego w Polsce, łącznie z Okęciem. Poza tym Polska jest w ogóle zbyt mała ażeby żeglugę powietrzną wewnątrzkrajową w najbliższej perspektywie opierać na lotnictwie odrzutowym.

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT UNIWERSALNY

Odpowiedź na ten argument łączy się z odpowiedzią poprzednią. Jeśli chodzi o samoloty odrzutowe, to wszystkie polskie porty lotnictwa cywilnego usytuowane są zbyt blisko miast, natomiast dla turbośmigłowców odległość ta acz nie jest dostateczna, jest przecież wystarczająca.

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT CHARAKTERYSTYCZNY

Kominy fabryczne istotnie stanowią potencjalne niebezpieczeństwo, ale niestety, współczesna żegluga powietrzna plasuje swe porty lotnicze wyłącznie obok miast przemysłowych. A Pałac Nauki i Kultury w Warszawie i inne obiekty wysokościowe w różnych miastach to bedłka? O Nowym Jorku nie będę wspominał.

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT EKONOMICZNY

To fakt, że dwa lata temu linie krajowe nie były rentowne, że samoloty latały bez pasażerów. Wina za ten stan rzeczy spada jednak na kiepską organizację pracy i słabą propagandę PLL „Lot", a nie na pasażerów z miasta Łodzi.

(Dokończenie na str. 7)

Dnia 7 maja br. w gmachu prasy łódzkiej przy ul. Piotrkowskiej 96, odbyło się odsłonięcie tablicy ku czci poległych dziennikarzy łódzkich.

Fot. E. Kudaj

Koło się kręci

(Dokończenie ze str. 1).

dziewczyny — ze szkoły podstawowej. Próbowali wycyganić od starszych przegrane losy loteryjne. Bo wiadomo, za cztery losy można dostać nagrodę pocieszenia, tomik poezji, albo coś bardzo grubego z remanentów.

Pan Redaktor się nie pogniewa, ja wcale nie wierzę w „masowe transmisje kultury" — w telewizję (tu się raczej zgadzamy), w audycje radiowe, zwłaszcza te dobre (bo kto ich słucha?), w książkę, jako narzędzie upowszechnienia w miejscowych, łódzkich warunkach.

Przypomnijmy sobie niektóre dane statystyczne. Stare one — z lat 1957—1958 — ale nowszych nie ma.

33 procent robotników nie czytuje książek, 12 procent nie czytuje prasy, 10 procent — nie czytuje w ogóle nic. Zaś książek zakupionych w ciągu roku u zakładowych kolporterów przypada na jednego robotnika 0.38.

Albo z innej beczki — parę cyfr, żeby nie wracać więcej do statystyk. Przeszło jedna trzecia ludności miasta, to przybysze ze wsi. Ponad 7 procent ogółu mieszkańców nie uczęszczało nigdy do szkoły, około 28 procent — nie ukończyło szkoły podstawowej...

Otóż to właśnie.

Preopinanci moi, szanowni, postulują określone metody upowszechniania: wspomniane już „masowe transmisje kultury", odczyty, prelekcje, wieczory autorskie. I domagają się rozszerzenia kręgu prelegentów, bo wówczas dopiero, przy pełnej reprezentacji środowisk twórczych, można będzie mówić „z czystym sumieniem" o prawdziwym upowszechnianiu.

Wydaje mi się, że po pierwsze — robotnicy, o których powinno nam chodzić najbardziej, na odczytach rzadko bywają. Po drugie, że — rozumiejąc w ten sposób — zakładamy milcząco podział społeczeństwa na kulturalną elitę i niekulturalną masę.

Myli się jednak Nienacki, w swoim żółcią pisanym, ale słusznym w zasadzie artykule, kiedy stwierdza, że każdy zdolny nauczyciel-polonista lepiej by, jako fachowiec, poprowadził prelekcję o np. Konopnickiej, niż literat. Nasi pisarze są na ogół polonistami z wykształcenia, prócz fachu mają zaś jeszcze trochę talentu.

Nie jest również prawdą, że poeta nie powinien mówić o sławnym muzyku — nie o muzykę bowiem chodziło, a o muzyka, co stanowi wielką różnicę, zwłaszcza gdy temat brzmiał: „Chopin w literaturze".

Dziwię się tylko, że nikt z literatów — narodu, bądź co bądź, piśmiennego — nie podjął z Nienackim dyskusji, szczególnie, że autor sam sobie zaprzecza. Występuje przeciw eksploatowaniu zawsze tych samych nazwisk, a jednocześnie przypomina, że pewnego literata, który gledził, ściągnięto siłą z trybuny. Otóż są dobrzy prelegenci i tych publiczność często się domaga. I są dobrzy pisarze a nieudolni prelegenci. Z okazji Dni Oświaty kilkadziesiąt instytucji zgłosiło do sekretariatu Związku zamówienia na odczyty z podaniem nazwisk i tematów. Czy można takie zlecenia rozdzielić według listy?

Wracając wszakże do sprawy. Wartości kulturalne to nie tylko dzieła sztuki, nie tylko książki i obrazy, jak zdaje się mniemać Marian Piechal. To również i przede wszystkim postawa życiowa, to stosunek do społeczeństwa, do pracy, a także umiejętność wykorzystania wolnego czasu. A prawdziwe upowszechnianie kultury, to formowanie owej postawy, między innymi jedynie poprzez popularyzację idei zawartych w sztuce. Kultury nauczyć nie można. Można wychować.

I dlatego nie tyle chodzi o upowszechnianie, ile o właściwą politykę kulturalną. Chodzi o wybór, o rozsądną selekcję wartości. Ilość dóbr kulturalnych nieustannie wzrasta, ale chłonność umysłu ludzkiego jest ograniczona. Jeżeli zastanawiamy się nad selekcją materiału nauczania w szkołach, doborem lektur, zasobem wiadomości z historii, tym bardziej winniśmy selekcjonować pożywkę, jaką zamierzamy karmić ludzi, którym nikt nie wyjaśni, że słowo pisane, lub mówione ze sceny, może równie dobrze zawierać prawdę jak fałsz.

Wprawdzie trudno przesądzić definitywnie, co jest prawdą, bo jutro może nauka obalić nasze dzisiejsze poglądy, jeszcze trudniej ręczyć, że coś jest, lub nie jest, piękne. Żyjemy jednak w określonych historycznych czasach, wiemy do czego dążymy i wiemy, że w pracy wychowawczej musimy uwzględniać nie tylko idealny wzorzec, ale także warunki bytu współczesnego człowieka.

Musimy pamiętać, że w Łodzi trzecia część ludności nie posiada podstawowego wykształcenia, że wielu ludzi wolny czas spędza najchętniej przy kioskach z piwem, że kobiety pracujące, prawie wcale tego wolnego czasu nie mają. O tym wszystkim musimy myśleć, planując politykę kulturalną.

Nawet złotousty prelegent nic nie wskóra na moim podwórku, zachwalając sztukę abstrakcyjną, lub awangardową poezję...

HENRYK ANDERS

JACEK LEBEN

Miodowe „sto dni" minęło

W połowie listopada kolejne „Dwa łyki" zatytułowałem „W oczekiwaniu na pierwsze 100 dni". Chodzi oczywiście o 100 pierwszych dni prezydentury Kennedy'ego, w czasie których krystalizują się zasadnicze tendencje polityczne nowej administracji. Minęło już te 100 dni i można pokusić się o wstępne podsumowanie. Wiele pism światowych czyni to w sposób ironiczny. Na przykład brytyjski Sunday Telegraph pisze: „W chwili gdy co najwięksi wielbiciele prezydenta Kennedy'ego u nas w kraju powracają do równowagi po zeszłotygodniowym wstrząsie (chodzi o inwazję na Kubę — przyp. J. L.) szykują się nowe niespodzianki.

Teraz, gdy skończyła się studniówka, dowiemy się jak często prezydent Kennedy gra w golfa.

W ciągu pierwszych 80-ciu dni sprawowania urzędu, Kennedy grał osiem razy, zaś Eisenhower — sześć razy".

Nie jest to chyba jednak właściwa metoda oceny. Zastosujemy więc inną. Nie jest tajemnicą, że wiązaliśmy z prezydenturą Kennedy'ego nadzieje na poprawę sytuacji międzynarodowej. Wynikały one nie z przeświadczenia o postępowości nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale z przeświadczenia, iż jest on politykiem realistą, że zarówno on jak i jego najbliższe otoczenie ma krytyczne spojrzenie na dotychczasową politykę Stanów Zjednoczonych, i że z tego realizmu i umiejętności krytycznego spojrzenia na rzeczywistość, wypływać będzie polityka — w każdym razie biorąca pod uwagę układ sił we współczesnym świecie.

Pierwsze tygodnie wydawały się potwierdzać, iż nadzieje te nie były płonne. Zarówno pierwsze orędzia młodego prezydenta jak i jego dialog z premierem Chruszczowem były utrzymane we właściwym, spokojnym tonie. Ograniczenie swobody wypowiadania się kołom wojskowym, oświadczenie, iż Stany Zjednoczone nie będą ponawiać lotów szpiegowskich przeciwko Związkowi Radzieckiemu, wszystko to napawało optymizmem. Niemniej wymogi politycznej gry w tym złożonym świecie są niezwykle twarde. Kennedy znalazł się pod gwałtownym naciskiem wszystkich zimnowojennych kół w Stanach Zjednoczonych i poza nimi. Niemal wszystkie jego projekty ustawodawcze zostały storpedowane lub w poważnej mierze okrojone. Kuba i Laos to przysłowiowe dwa parzące kartofle, które Kennedy otrzymał w spadku po Eisenhowerze. Z nimi Kennedy sobie nie poradzi. One w sposób dramatyczny zaciążyły na owych miodowych 100 dniach. Kennedy znalazł się w związku z tymi problemami w ogniu dwóch krzyżujących się tendencji. Jedna dążyła do pełnego zaangażowania się w Laosie i Kubie aż do interwencji zbrojnej czyli do zwycięstwa za wszelką cenę. Druga zalecała umycie rąk i od Kuby i od Laosu, dowodząc, że Stany nie mogą tam zwyciężyć. Gdyby Kennedy opowiedział się za tą ostatnią tendencją, znalazłby się w ogniu zarzutów, że w przeciwieństwie do Eisenhowera jest miękki i uległy wobec świata socjalistycznego. Zarzut to groźny w Stanach Zjednoczonych.

Kennedy wybrał bardzo niedobrą pośrednią drogę. Problem laotański rozgrywa na dwu płaszczyznach — stale grozi interwencją zbrojną, osłaniając tym rokowania polityczne w sprawie Laosu. Aprobował interwencję kontrrewolucyjną na Kubie, która startowała z ziemi amerykańskiej, ale nie zdecydował się wbrew namowom Pentagonu na poparcie tej interwencji przez bezpośrednie zaangażowanie sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Załamanie się inwazji na Kubę doprowadziło nie tylko do znacznego upadku prestiżu Kennedy'ego i Stanów, ale zapoczątkowało nieodwracalny łańcuch wydarzeń, który zaciążył nad całą sytuacją międzynarodową i przerwał nadzieje na szybkie rozmowy między Wschodem i Zachodem.

Brytyjski „Daily Mail" tak ocenia 100 dni „14 tygodni temu na tych samych szpaltach podawaliśmy tekst inauguracyjnego przemówienia Kennedy'ego skierowanego do narodu amerykańskiego całego świata...

Drukowaliśmy ten tekst ponieważ było to ważne i wzniosłe przemówienie. Podkreślało ono fakt, że nowy, ożywczy duch będzie prowadził Stany Zjednoczone drogami wiodącymi do większych sukcesów.

Prezydent ostrzegł, że dążeń do pokoju nie da się zrealizować w najbliższych 100 dniach.

Jakże wielką miał rację. 100 dni minęło. A atmosfera jeśli się zmieniła to na gorsze.

Ciosy na amerykański prestiż spadały równie mocno jak w najgorszym okresie rządów Eisenhowera.

Pod tymi ciosami amerykańskie przywództwo zachwiało się nieco. Zostało zaskoczone i ośmieszone przed światem. Już w chwili obecnej niektórzy ludzie, którzy mają po temu swoje powody twierdzą, że Kennedy ich zawiódł i rozczarował.

Jeśli kiedykolwiek miał on złudzenia, że zmniejszenie napięcia zimnej wojny osiąga się wypowiadaniem pięknych słów, to na pewno je stracił".

„Historia Żółtej Ciżemki"

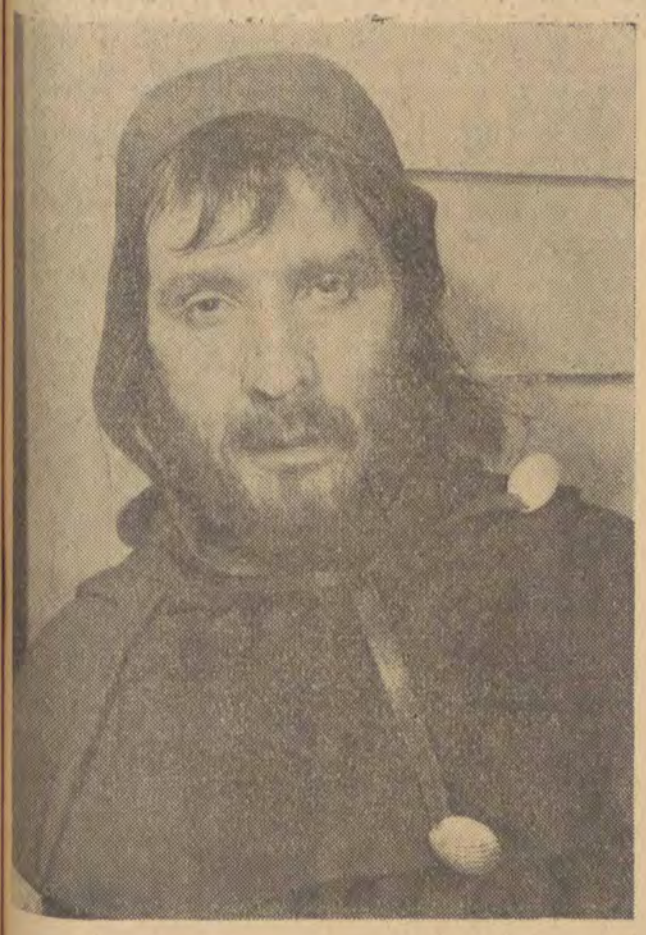

Andrzej Szczepkowski jako Rafał w filmie p.t. „Historia żółtej ciżemki".
Fot. W. Rozmysłowicz

Średniowieczne, gotyckie miasteczko. Zmierzch. Zmęczony, błąkający się Wawrzuś zagląda tęsknie w oświetlone okna...

Treści filmu nie trzeba chyba przypominać. Powieść Antoniny Domańskiej należy do jednej z najpopularniejszych pozycji literatury młodzieżowej, tak więc pokolenie starsze jak i młodsze, zna jej fabułę doskonale.

Lecz przy ekranizacji tak obszernej książki trzeba było zastosować konieczne skróty. Treścią filmu będzie więc miłość Wawrzka do rzeźbienia oraz perypetie i przygody jakie napotyka on na swej drodze do mistrza Stwosza.

Do „Historii żółtej ciżemki" zaangażowano wielu wybitnych aktorów, takich jak: E. Barszczewska, B. Tyszkiewicz, J. Baer, T. Białoszczyński, G. Holoubek, B. Kobicka, B. Niewinowski, B. Pawlik, A. Szczepkowski. Dobór ten świadczy o tym jak bardzo realizatorzy liczą się z przyszłym młodzieżowym widzem.

Główną rolę Wawrzka w filmie kreuje dziesięcioletni Marek Kondrat. Swą pracę w filmie traktuje on jako wielkie wydarzenie swojego życia. Jest bardzo zdyscyplinowany. Mimo wyczerpujących, wielogodzinnych zdjęć w atelier, systematycznie uczy się, aby nie dopuścić do ewentualnych braków powstałych na skutek przerwania zajęć lekcyjnych.

Korzystając z przerwy w zdjęciach rozmawiamy na temat pełnometrażowych filmów dla dzieci i młodzieży z wykonawcami czołowych ról w „Ciżemce" pp. B. Pawlikiem i A. Szczepkowskim. Są oni zdania, że w krajowej produkcji filmowej częściej zjawiają się filmy o młodzieży niż dla młodzieży. Jest to poważny mankament, gdyż wystarczy zaobserwować jak niesłabnącym powodzeniem cieszą się „Awantura o Basię", „Szatan z VII klasy" czy „Marysia i krasnoludki" by stwierdzić, że młodzi widzowie winni rokrocznie otrzymywać kilka pozycji filmowych dla siebie. „Historia żółtej ciżemki" będzie filmem przeznaczonym przede wszystkim dla młodzieży.

Do prac nad filmem przystąpiono w połowie kwietnia. Zakończenie całości przewiduje się na koniec czerwca. Jeśli więc „rozpowszechnianie" nie zawiedzie, inauguracja nowego roku szkolnego zbiegnie się z premierą ciekawego i barwnego filmu młodzieżowego, który będzie zarazem debiutem reżyserskim Sylwestra Chęcińskiego.

DANUTA TARCZYŃSKA

10-letni Marek Kondrat jako Wawrzuś w „Historii żółtej ciżemki"
Fot. W. Rozmysłowicz

„Noce Europolis"

W ubiegłym roku wyprodukowany został na zachodzie włosko-francuski film „Noce Europy" reżyserii Alessandro Blasetti'ego znanego w Polsce z filmów „Podróż w nieznane", „Dzisiejsze czasy" i inne.

„Noce Europy" otwiera barwna makieta Europolis, potężnego grodu, w którym piękna krzywa wieża sąsiaduje z Kremlem, supernowoczesne madryckie hotele z antycznym Colosseum, katedra mediolańska z opactwem Westminsteru. Europolis — bajeczna kraina świateł i neonów, bulwarów i alei. Kraina nocnych lokali i kabaretów. Europolis bawi się. Biedni i bogaci. Jak w bajce. Biedni wpatrzeni w ekrany telewizyjnych aparatów. Bogaci w luksusowych lokalach. I ci i tamci słuchają Domenico Modugno, podziwiają głośnego brzuchomówcę, oglądają występy murzyńskich rewelersów i tancerzy.

Publiczność Europolis ma podobne gusty, niezależnie od tego czy żyje w Madrycie, Paryżu czy Londynie. Wszędzie króluje streap-tease i rytm. Artyści prześcigają się w oszczędności strojów. Obłąkańczy rock and roll wprawia w istny taniec świętego Wita londyńską młodzież. W paryskiej „Nouvelle Eve" starsi panowie przeżywają nie lada emocje będąc świadkami streapteasu słynnej Niagary.

Kabarety niewiele się chyba zmieniły od epoki finde sieclu. Podobne stroje i podobne ruchy. Ten sam zły gust. Minęła jedynie moda na numery liryczne i sentymentalne. Oprócz girls, piosenkarzy i tancerzy, są jeszcze magicy i cyrkowcy. Upodobania obywateli Europolis nie zmieniają się jak widać szybko.

Para młodych ludzi nie może sobie pozwolić na pójście do drogiego lokalu. Ale moneta wrzucona do juke-boxu umożliwi im wysłuchanie tej samej piosenki jaka rozbrzmiewa właśnie ze scenki „Lido" lub „Carouselle". Takie są reguły „demokracji" — anno domini 1960. „Równość". Domenico Modugno dla wszystkich. I Tony Steel dla wszystkich...

Film Blasettiego jest niewątpliwie interesujący. I to z wielu względów. Przede wszystkim stanowi przegląd najwybitniejszych solistów i zespołów europejskich lekkiej muzy. Wystarczy dla przykładu wymienić Carmen Sevilla, Steela, Modugno, zespół Plattersów, Archie Steve Dancers, Concinelle itd. Nam Polakom przyjemnie jest chociaż za pośrednictwem kamery zajrzeć do wnętrza ekskluzywnych kabaretów Paryża i Londynu. Tylko, że niestety nie ma tam naprawdę nic ciekawego.

Ach przepraszam... zapomniałam. Jest! Mnóstwo bliźniaczo do siebie podobnych, bardzo zgrabnych zresztą kociaków. Ale to chyba już wszystko. „Noce Europy" są również zwierciadłem gustów epoki i miarą jej poziomu kulturalnego. W gruncie rzeczy nie wybiegliśmy daleko poza upodobania do jarmarcznych rozrywek. Najlepsze lokale i najgłośniejsi wykonawcy. I brak gustu. Cóż dopiero mówić o prowincji i podrzędniejszych artystach? Człowiek przestaje psioczyć nawet na imprezy rodzimej „Estrady". No, bo gdzie nam do Paryża? Europolis szuka rozrywek prymitywnych, dających zapomnienie i odprężenie.

Blasetti nie ograniczył się do zarejestrowania na taśmie filmowej samych występów. Pokazał również publiczność i jej reakcje. Zanotował ową tak charakterystyczną dla dzisiejszych czasów wspólnotę upodobań i zainteresowań, niezależnie od przynależności narodowej i społecznej. I jednocześnie pokazał również znamienną powszechność kultury możliwą dopiero w epoce radia, filmu i telewizji! W studio rzymskiej telewizji śpiewa Domenico Modugno. Oglądają go i słuchają jednocześnie mieszkańcy Rzymu i Mediolanu, Brukseli i Paryża. Europa przeobraża się w Europolis. Ale Europolis pokazane przez Blasettiego, mimo swej pozornej barwności i przepychu napawa niesmakiem. Wspólnota „kultury" europejskiej sprowadzona została do niewielkiego światka i półświatka kabaretów, cyrków, nocnych lokali. My tę wspólnotę wyobrażamy sobie nieco inaczej. A przez pojęcie kultury rozumiemy coś więcej.

MARIA KORNATOWSKA

MŁODA GWIAZDKA AMERYKAŃSKA MARGIE CRANER, KTÓRA ZADEBIUTOWAŁA W KOMEDII „AL CAPONE", ROZPOCZĘŁA SWOJĄ KARIERĘ JAKO CHÓRZYSTKA W NOWOJORSKIM RADIO.

Nowe filmy z Tuszyna

W Studio Filmów Lalkowych w Tuszynie k. Łodzi ukończono produkcję kilku nowych filmów, które niedługo zobaczymy na naszych ekranach.

1.

„Dwie lampy" — film lalkowy.

Scenariusz — Ewa Dąbrowska, Marian Zdrojewski.

Oprawa plastyczna i reżyseria — Tadeusz Wilkosz.

Zdjęcia — Eugeniusz Ignaciuk.

Muzyka — Zbigniew Turski.

Treścią filmu są przygody dwóch lamp, które ustrzegły młyn podczas nieobecności młynarza przed złodziejami — myszami. Kot, kogut i pies, którym młynarz powierzył pieczę nad młynem, zlekceważyli

(Dokończenie na str. 4)

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Prawdziwy „Mein Kampf"

KAŻDY FILM JEST ŚRODKIEM WYRAŻANIA CZYJEGOŚ POGLĄDU I IDEI. JEDNYM ZE SPOSOBÓW WYPOWIEDZENIA JEST FILM OPARTY NA FIKCJI LITERACKIEJ. INNĄ, BARDZIEJ PRZEKONYWUJĄCĄ FORMĘ WYPOWIEDZI STANOWI FILM DOKUMENTALNY, ZMONTOWANY NAJCZĘŚCIEJ Z AUTENTYCZNYCH ZDJĘĆ, KTÓRYCH AUTORZY BYLI NAOCZNYMI ŚWIADKAMI FILMOWANYCH WYDARZEŃ. JAKĄ ZASTOSUJE SIĘ SELEKCJĘ MATERIAŁU, JAK GO SIĘ ZMONTUJE, JAKIMI GO SKOMENTUJE SIĘ SŁOWAMI — TO M. IN. DECYDUJE O STYLU DANEGO FILMU, JEGO WARTOŚCIACH FORMALNYCH, A PRZEDE WSZYSTKIM DECYDUJE O WYMOWIE SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ DZIEŁA.

Erwin Leiser — szwedzki dziennikarz, filmowiec-dokumentalista, nie miał łatwego zadania, gdy przez trzy miesiące zbierał materiały filmowe w różnych archiwach do filmu „Mein Kampf". Jednym z bogatych źródeł z takimi materiałami okazało się prywatne archiwum Goebbelsa (znajdujące się obecnie w NRD). Tam znalazł Leiser m. in. instruktażowy film zrealizowany w Polsce przez hitlerowców, a przeznaczony do użytku oddziałom SS zwalczającym partyzantów. Również ze wspomnianego archiwum pochodzą wstrząsające zdjęcia z warszawskiego getta.

Reżyser zebrał więc około 200 tysięcy metrów taśmy filmowej (przeciętny film pełnometrażowy wynosi ponad 2 tys. metrów). Z tego ogromnego materiału wybrał około 3 tysięcy metrów taśmy, ażeby zmontować film. W „Mein Kampf" Leiser ukazał nie tylko zbrodnie popełniane przez hitlerowców, ale również ich mechanizm, rolę wypadków i wydarzeń historycznych, które poprzedziły okres dyktatury Hitlera w Niemczech. Twórca filmu opierając się wyłącznie o autentyczny, dokumentalny materiał fotograficzny i filmowy dał przekrój życia Hitlera począwszy od jego pierwszych publicznych wystąpień, a skończywszy na klęsce Trzeciej Rzeszy. W ekspozycji filmu nie zabrakło również obrazu sytuacji polityczno-społecznej tuż po zakończeniu I-szej wojny światowej. Pierwsza i bardzo obszerna część filmu dotyczy „drogi Hitlera do władzy", jego metod walki z przeciwnikami politycznymi. W drugiej części główny akcent położył Leiser na ukazaniu owych hitlerowskich „sukcesów", naszkicowaniem sytuacji w jakiej znalazła się Polska i inne państwa.

Komentarz filmu wyróżnia się obiektywizmem i bezpretensjonalnością, brakiem patosu. Swój film Erwin Leiser poświęcił przede wszystkim narodowi polskiemu i żydowskiemu. Żadna recenzja nie odda tego, co jest wstrząsające, nieprawdopodobne *a jednak prawdziwe*, bo zarejestrowane na taśmie filmowej. Nic tak nie wzrusza, nie ostrzega przed niebezpieczeństwem, jak autentyczne fakty. Fakty, które są nie na rękę, ażeby je przypominać wielu ludziom zasiadającym w rządowych fotelach Niemieckiej Republiki Federalnej. Nie są na rękę tym, którzy osłaniają Eichmanna, Globkego i innych, jak też tym, którzy mają tupet i bezczelność pani Leni Riefenstahl — hitlerowskiej szefowej niemieckiego filmu dokumentalnego. Pani ta zaskarżyła Leisera w sądzie monachijskim (...i uzyskała odszkodowanie (!) o wykorzystanie w „Mein Kampf" 337,67 metrów taśmy z jej hitlerowskiego filmu pt. „Triumf woli".

„Mein Kampf" przypomina wiele prawd, wiele monstrualnych zbrodni, od których nawet bezczelnością i wysokimi, bońskimi stołkami rządowymi zasłonić się nie można i to jest podstawowy i najważniejszy walor tego wstrząsającego filmu.

EWA NURCZYŃSKA

„Odwiedziny prezydenta"

Świat uczuć i przeżyć dziecka jest ciągle frapującym tematem w literaturze i filmie, toteż co jakiś czas powstają różnego rodzaju próby i propozycje jego przedstawienia. Ale w tym nieznanym kręgu dorosły nie czuje się najlepiej, jego próby spojrzenia na świat od wewnętrznej strony bariery są zawsze subiektywnymi propozycjami, które wzbudzają poparcie jednych i opór innych — także dorosłych.

Film reżyserii Jana Batorego pt. „Odwiedziny prezydenta", który jest adaptacją opowiadania J. Zawieyskiego, stał się nowym przyczynkiem w poznawaniu świata myśli i wyobraźni dziecka. Film opowiada historię kilkuletniego dziecka, które po rozbiciu rodziny pozostaje przy ojcu. Ojciec zakłada nowy dom. Chłopcu pozornie niczego nie brak — ma staranną opiekę, zwłaszcza ze strony przybranej babki, jest ładnie ubrany, ma moc zabawek. Te pozory nie zdołają jednak zastąpić tego, czego dziecko jest najbardziej spragnione — miłości.

Toteż niekochany chłopiec ucieka w świat wyobraźni, w którym stwarza wcieloną w sylwetkę ojca postać przyjaciela — Pana Prezydenta. Prezydent przybywa na każde wezwanie samotnego dziecka. Ziszczają się wtedy wszystkie proste w istocie marzenia — jak spacer z ojcem, który widziały by inne dzieci, stanowiące w rozgorączkowanej wyobraźni ogromny tłum spacerujących z rodzicami.

Samotność dziecka wypunktowują twórcy przeciwstawiając jego zabawom i marzeniom obcy świat dorosłych, zajętych własnymi nie zawsze najprostszymi sprawami, świat, z którego Jacek chce dla siebie zdobyć cząstkę, jaką stanowiłaby miłość i serdeczna troska uwielbianego ojca. Szczególnie mocno wypadają momenty filmu, gdy trafiając światu dorosłych dziecko zostaje zawiedzione i oszukane.

W filmie Batorego ujawnia się fakt, który dochodzi do głosu w większości filmów o dzieciach (nie dla dzieci). Film jest lepszy w momentach, gdy kamera po prostu obserwuje chłopca — jego zachowanie, reakcje i zabawy. Kiedy jednak kamera usiłuje nam pokazać świat widziany oczami dziecka, zakrada się do filmu nuta sztuczności. Została bowiem zachwiana przyjęta konwencja, zmienił się kąt patrzenia. Niewątpliwie niektóre tego rodzaju propozycje Batorego należą do udanych np.: scena wybuchu wesołości rodziców, która w oczach Jacka przeobraża się w jakiś niesamowity śmiech — tak może dziecko reagować na pewne, zdawałoby się naturalne, odruchy dorosłych, zwłaszcza, gdy te nie zgadzają się z jego nastrojem. Gorzej wypadają sekwencje, w których twórcy usiłują przedstawić świat marzeń chłopca — nie sposób tu nie stwierdzić, że ratuje je doskonała ilustracja muzyczna Adama Walacińskiego.

Wszystkie wrażenia contra wywołuje chyba brak określonego stanowiska twórców w przedstawieniu świata dziecka. Należało się coś wybrać. Albo obserwować, wybierając najcenniejsze momenty, albo zdecydować się na jakąś konsekwentną a nie ułamkową propozycję ukazania świata realnego lub świata fanatazji takiego, jakim go może widzieć kilkuletni człowiek.

Gdyby ktoś zgłaszał wątpliwości co do możliwości podjęcia takiej próby należałoby mu polecić krótki film Franju pt. „Pierwsza noc".

Ten poetycki film konsekwentnie realizuje wyżej proponowane założenie.

Powodzenie wszystkich filmów psychologicznych w znacznej mierze zależy od aktorskiej interpretacji powierzonych ról. Z pary głównych bohaterów „Odwiedzin prezydenta" — Jacka i ojca — prezydenta, Januszek Pomaski był dużo lepszym aktorem niż jego partner Leon Niemczyk. Pozostał aktorzy — a zwłaszcza Irena Malkiewicz Jan Machulski odtworzyli przekonywujący świat dorosłych otaczający małego, opuszczonego chłopca.

Filmy psychologiczne usiłują często niedostatki myśli lub formy rekompensować pozorami, których wykładnikiem stają się sceny ciągnące się w nieskończoność — grzech wielu polskich filmów. Nie uniknęły również tego grzechu mimo wszystko ambitne, a przede wszystkim szlachetne w intencjach „Odwiedziny prezydenta".

Nowe filmy z Tuszyna

Dokończenie ze str. 3

swe obowiązki i dopiero alarm lamp nakłonił ich do pościgu za złodziejami.

2.

„Chochołowa ballada" — krótkometrażowy film aktorski.
Scenariusz (wg Hanny Januszewskiej) — Jan Laskowski, Jerzy Stawicki.
Reżyseria — Jadwiga Kędzierzawska.
Zdjęcia — Jan Laskowski.
Muzyka — Piotr Hertel.

Film opowiada w poetycki sposób o małym chłopcu wiejskim, którego odwiedziły ogrodowe chochoły i zabawiły go swym tańcem.

3.

„Kiedy tak pada śnieg" — krótkometrażowy film aktorski.
Scenariusz i reżyseria — Jan Laskowski.
Zdjęcia — Wiesław Pyda.
Muzyka — Piotr Hertel.

Liryczna opowieść filmowa o chłopcu, który nudził się w swym pokoju, pozostawiony sam sobie. Dopiero muzyka staroświeckiego zegara wprowadziła chłopca w pogodny nastrój.

4.

„O Janku co psom szył buty" — film lalkowy.

Scenariusz (wg. Juliusza Słowackiego) i reżyseria — Lidia Hornicka.
Oprawa plastyczna — Zofia Stanisławska-Howurkowa.
Zdjęcia — Leszek Nartowski.
Muzyka — Zbigniew Turski.

Film wg. znanego wiersza Juliusza Słowackiego o Janku, który szyjąc buty chartom królewskim doszedł do wielkich zaszczytów.

5.

„Ala ma kota" — film rysunkowy.
Scenariusz — Alina Kotowska, Lechosław Marszałek.
Oprawa plastyczna — Kasia Kotowska lat 6.
Reżyseria — Alina Kotowska.
Zdjęcia — Jerzy Kotowski.
Muzyka — Piotr Hertel.

Film przedstawia zabawę Ali z kotem w całym szeregu gagów filmowych.

6.

„Przygody budzika" — film lalkowy.
Scenariusz — Ewa Dąbrowska, Janina Hartwig.
Oprawa plastyczna — Edward Sturlis.
Reżyseria — Janina Hartwig
Muzyka — Jerzy Matuszkiewicz.

Film opowiada o przygodach budzika, który opuścił swego pana, aby po licznych perypetiach wrócić do niego z powrotem.

„Sprawcy nieznani"

Historia włamania do lombardu czy też sklepu jubilerskiego, całe „techniczne" przygotowanie „roboty" stanowi fabułę „Sprawców nieznanych" — filmowej parodii znanego u nas „instruktażu" francuskiego „Rififi". Ćwiczenia na temat sposobów otwierania kas pancernych prowadzone przez „speca nad specę", są rzeczywiście zabawne i stanowią przykład poczucia humoru ze strony reżysera filmu Mario Monicellego.

A jednak pomimo sympatii jaką niewątpliwie wzbudza ta komedia, nie można o niej napisać, że jest świetna, kapitalna itp. Zasadniczą wadą tego filmu jest brak żywego tempa. Po bardzo długiej ekspozycji, akcja wlecze się jak przysłowiowy żółw do mety. Zabawa traci na dynamiźmie i zaczyna po prostu nużyć. Całości brak jest jakiejś zaskakującej pointy potrzebnej w tego rodzaju komediach sensacyjnych. Również kilka wątków pobocznych nie jest w ogóle, zakończonych. Świetny wątek o Sycylijczyku trzymającym w zamkniętym pokoju swoją siostrę, został przez realizatorów nie zakończony. Inny przykład: postać starego kryminalisty Casima, głównego autora całego „rififi" jest nie wygrana. Reżyser chyba nie bardzo wiedział jak dalej poprowadzić akcję z udziałem tej postaci.

Co zrobił? Strasznie głupio uśmiercił, każąc bohaterowi wejść pod nadjeżdżający tramwaj. Filmowi temu brakuje owej precyzji w budowie dramaturgicznej, którą posiadała komedia tego samego Monicellego pt. „O.K. Neron", wyświetlana u nas kilka lat temu. Szkoda, że reżyser nie wyeliminował szeregu postaci i wątków z nimi związanych film zyskałby chyba na wartości, a tacy aktorzy jak: Marcello Mastorianni, Vittorio Gassman, mieliby większe pole do popisu. Znana z okładek ilustrowanych magazynów Claudia Cardinale nie miała niestety okazji do pokazania swych zdolności aktorskich, ani też podobno bardzo wysoko ocenianych wdzięków ciała.

PRAWDA O SMOKU SIEDMIOGŁOWYM

Dalszy ciąg ze str. 1

czwartej doucza się tylko 421 osób.

Ministerstwo Oświaty w porozumieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych opracowało pięcioletni plan dokształcania dorosłych. W wyniku porozumienia zakłady pracy zobowiązane zostały do sporządzenia spisu pracowników bez wykształcenia podstawowego oraz do wywierania nacisku na tych ludzi, aby uzupełniali swoje wykształcenie.

Spisy sporządzono, ale czy wychwycono w ten sposób wszystkich analfabetów, półanalfabetów i w ogóle ludzi bez pełnego wykształcenia podstawowego? Wielu pracowników oświaty, z którymi rozmawiałem na ten temat, czyniło gest oznaczający w przybliżeniu — zawracanie głowy! Zatem statystyka nie jest jeszcze pełna.

* * *

— Halo, Zakłady Mickiewicza? Dział personalny proszę.
— Dział personalny, słucham.
— Proszę pani, czy są w waszych zakładach ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?
— Analfabeci?
— Analfabeci.
— Wie pan, że nie wiem. Kierownika nie ma. Ale chyba są.
— Są, czy nie ma?
— Nie wiem.

* * *

Skąd znowu analfabeci? Skąd znowu analfabetyzm? Jedni twierdzą, że to analfabetyzm wtórny. Inni uważają, że w Łodzi zlikwidowano analfabetyzm raz na zawsze, a jeżeli analfabeci są, to znaczy, że przybyli ze wsi. Po czyjej stronie słuszność? Może w jakimś stopniu po stronie pierwszych, na pewno w jakimś stopniu po stronie drugich, ale całkowicie ani po stronie drugich ani po stronie pierwszych.

Kierowniczka szkoły przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego pani Kornelia Masłowska otwiera drzwi jednej z sal lekcyjnych. Jestem wreszcie oko w oko z analfabetami. To ludzie młodzi! Dziewięć osób siedzi przy stolikach. Osiem twarzy młodych. Jedna babcia w okularach. Maleńka, szczupła, wysuszona. Podbiega do mnie energicznym kroczkiem.

— Ja już prenumeruję Głosik Pracy — chwali się.

Tak, to już nie są analfabeci czystej wody. To są uczestnicy kursu dla analfabetów.

Siadam w ostatnim rzędzie przy stoliku.

— Jan i Karol jadą koleją. Oto są daleko od domu — czytają chórem przerośli uczniowie. Przeważają męskie, chropowate głosy. Za oknem pomrukuje rozdygotany gmach przędzalni.

Czytanie indywidualne wypada nieco słabiej.

— Jan i Ka-Ka-Karol jadą ko-koleją — sylabizuje potężny baryton.

Siedzący przede mną mężczyzna ujął głowę w dłonie i wzdycha głośno raz za razem.

— Co pan tak wzdycha? — pyta nauczycielka.

— Głowa mnie boli.

W sali jest duszno. Sufit nisko. Tuż nad sufitem dach. Słońce już trochę przygrzewa, ale to dopiero kwiecień. W czerwcu będzie tu piekielnie duszno.

Przy tablicy mężczyzna w szarym, rozpiętym swetrze i w koszuli rozpiętej szeroko pod szyją. Duszno.

— Proszę się podpisać — mówi nauczycielka.

Ręka mężczyzny bierze szeroki rozmach, ale nie nadąża jeszcze za fantazją właściciela. Kreda niezbyt szybko sunie po tablicy, ręka jednak nie traci rozmachu. Zgięty łokieć podryguje z dołu do góry. Podpis własny. Po dyrektorsku, z rozmachem.

— Kto z państwa przybył ze wsi? — pytam.

Podnoszą się trzy ręce.

— Ile pani, pan ma lat?

— 26, 28, 38, 38, 38.

— A pani ile ma lat? — zwracam się do babci.

— No, jestem już po czterdziestce — odpowiada z uśmiechem.

Przy stoliku pod ścianą siedzi korpulentna blondyna w jaskrawej sukni.

— Pani przyjechała ze wsi, dlaczego pani nie chodziła do szkoły?

— Nauczyciel nie chciał mnie wziąć. Matula mnie posłała, a on nie chciał. Wszystko przez nauczyciela.

— Ile pani zarabia?

— Tysiąc dwieście.

— A pan jest łodzianinem, dlaczego pan nie skończył szkoły?

— Musiałem iść do pracy. Ojciec był chory.

— Ile pan zarabia?

— Tysiąc pięćset.

— A pani dlaczego nie chodziła do szkoły?

— Mój ojciec był chuligan! — odpowiada babcia z werwą.

— A dlaczego pani teraz się uczy?

— Bo widziałam na wystawie jakieś wdzianko, to nie wiedziałam, ile kosztuje. Ludzi pytałam. Jeden powiedział, drugi nie. Teraz sama będę wiedzieć. Jak nadchodzi godzina, to niech się wali, niech się pali, idę do szkółki. Krzyżyki na cmentarz!

Babcia ocknęła się. Kupiła sobie wieczne pióro, teczkę. Chodzi do „szkółki". Ilu młodych jeszcze nie chodzi?

* * *

— Halo, Zakłady Dzierżyńskiego?
— Tak, dział personalny, słucham.
— Proszę pani, czy w waszych zakładach są ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?
— Analfabeci, tak?
— Właśnie, analfabeci.
— Owszem, są. Ale to ludzie starzy.

* * *

W Polsce mamy ok. 3 milionów ludzi do 35 roku życia, bez pełnego wykształcenia podstawowego. W Łodzi jest ich ok. 30 tysięcy, z czego doucza się ok. 9 tysięcy, 9 tysięcy z 30. Dużo?

W porównaniu z latami ubiegłymi, kiedy douczało się najwięcej 4 tysiące, to dużo. Ten raptowny wzrost do 9 tysięcy jest pierwszym owocem pięcioletniego planu dokształcania dorosłych. Przewiduje się, że plan ten zostanie wykonany w 70 procentach. Zgodnie z planem łódzkie szkoły dla pracujących powinny mieć 12 tys. uczniów. Mają 9, ale 9 tys. to nie 4 tys. Zakłady pracy musiały się wreszcie zająć wykształceniem swoich pracowników.

W latach ubiegłych rekrutacja uczniów była sprawą niezwykle trudną. Oświata działała w osamotnieniu. Zdarzało się, że dyrektor zakładu pracy chował się przed kierownikiem szkoły, który zbyt natarczywie domagał się pomocy przy sprowadzaniu uczniów do izb lekcyjnych. Teraz przy zakładach pracy istnieją komisje rekrutacyjne.

Nie znaczy to jednak, że współpraca szkół z zakładami pracy układa się już bez zarzutu.

— Jeszcze wielu ludzi w zakładach pracy uważa, że wykonuje pracę za nas — mówi kierownik szkoły dwudziestej Jan Zdun. — Powiadają o nas „niech to oni robią", zamiast mówić „my to zrobimy razem".

Tam, w pokoiku kierownika szkoły dwudziestej ogarnęły mnie wątpliwości, czy pięcioletni plan dokształcania dorosłych zostanie wykonany w 70 proc. Oto w Zakładach im. Westerplatte jest 877 ludzi do 35 roku życia bez ukończonej szkoły podstawowej. W pierwszym roku planu powinno przystąpić do nauki 200 pracowników tych zakładów — przystąpiło 80.

W zakładach im. Marchlewskiego jest ich według oficjalnych danych 1064, kierowniczka szkoły przyzakładowej oblicza ich jednak na 1800, dokształca się z tego 180.

Są tacy młodzi uczniowie, którzy biorą zaświadczenia, że uczęszczają do szkoły, składają je w dziale personalnym swojego zakładu, a potem w szkole ich nie ma. W takich wypadkach szkoły zawiadamiają zakład pracy, który stara się nakłonić ucznia do powrotu do szkoły. Ten rodzaj współpracy daje bardzo korzystne wyniki.

— Co by było, gdyby pani zaprzestała kontaktu z zakładami pracy? — zapytałem kierowniczkę 31 szkoły.

— Sądzę, że „rozleciałaby się" cała szkoła — odpowiedziała.

* * *

— Halo, Zakłady Okrzei? Proszę z działem personalnym.
— Dział personalny, słucham.
— Proszę pani, są u was ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?
— Krzyżykami? To chyba jakiś kawał, tylko nie mogę poznać pana po głosie. Co, „Odgłosy"? Pan żartuje.
— Pytam poważnie.
— No więc są tacy ludzie, ale starzy. Większość z nich umie się nawet podpisać normalnym pismem.

* * *

Dlaczego ludzie nie chcą się uczyć? Dzieci, trudne warunki mieszkaniowe, choroba żony, męża, matki, ojca — oto najczęstsze tłumaczenia.

Wróćmy jeszcze raz do Zakładów Marchlewskiego. Kierowniczka szkoły, pani Masłowska podnosi słuchawkę telefonu.

— Sprowadzę panu taką panienkę z przędzalni — mówi do mnie.

Dziewczę w roboczym fartuchu, z kępkami bawełny we włosach wcale nie jest speszone.

— Należysz do partii, Janinko, tak?

— Należę — odpowiada spokojnie dziewczę.

— Już dwa razy rozpoczynała naukę i zawsze nam uciekała — mówi do mnie kierowniczka.

— Pani kierowniczko, ja nie uciekałam — protestuje dziewczę. — Nie mam tylko czasu na naukę. Matka leży chora, ojciec pracuje na wyjeździe. Muszę się zajmować matką i braćmi.

— W jakim wieku są ci bracia? — pytam.

— Dziesięć i jedenaście lat.

— A pani ile ma lat?

— Osiemnaście.

— I ma pani zamiar skończyć kiedyś szkołę czy nie?

— Mam.

— Kiedy?

Dziewczę patrzy na mnie dużymi, ciemnymi oczyma. Zapada kłopotliwe milczenie.

— Idź już do pracy — przerywa je kierowniczka.

Dziewczę wychodzi.

— Niech pan nie wierzy w tę obłożną chorobę mamy — mówi kierowniczka. — Jest u nas kilka panienek z takimi mamami. K. B. otrzymała już wymówienie dlatego, że nie chce się uczyć, ale ZMS wziął ją w obronę i pracuje dalej. Jej matka też choruje. Byłam u niej w domu, sprawdzałam. Matka nie jest zupełnie zdrowa, ale wcale nie leży. Panienkom nie chce się uczyć i dlatego mamy zaczynają obłożnie „chorować".

G. J. jest matką dwojga dzieci, a jednak uczy się. Siedzi z mężem w jednej ławce. Oboje się uczą. Dzieci same przychodzą ze szkoły i czekają w domu, aż rodzice wrócą ze szkoły.

J. I. nie ma chorej mamy. Sam często choruje, ale nauki nie przerywa, a też jest ojcem dzieciom i mieszka w jednym pokoju z czwórką współlokatorów.

B. K. także jest ojcem dwojga dzieci. Mieszka z nimi, z żoną i teściową w jednym maleńkim mieszkanku, ale nauki nie przerywa, chociaż teściowa robi mu często awantury, że musi bawić dzieci, a on się uczy.

* * *

— Halo, Zakłady Duracza? Z działem personalnym.
— Dział personalny, słucham.
— Są w waszych zakładach ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?
— Owszem, są. Starsi to ludzie, ale są.

* * *

Co zrobić, żeby ludzie się uczyli? Uczyniono już w tym celu wiele. Nie ma jeszcze tylko podręczników. Dorośli czytają bajeczki z dziecięcych książeczek. Jednych to bawi, ale drugich irytuje.

Szkół jest masa: przyzakładowe, zbiorcze, niedzielne. Są kursy, na których można uczyć się tylko wybranych przedmiotów, są kursy dla początkujących (najniższymi klasami w szkołach dla pracujących są klasy piąte). Naukę w klasach piątych skrócono do pół roku. Są szkoły dwu a nawet trzyzmianowe, aby robotnicy pracujący na zmiany mogli systematycznie uczestniczyć w zajęciach. Można wreszcie składać egzaminy z zakresu każdej klasy, chociaż nie jest się uczniem żadnej szkoły. Wszystko to nie chwyta. Ludzi trzeba ciągnąć do książki na siłę. Czemu?

Decydującą rolę odgrywa prawdopodobnie brak bodźców ekonomicznych. Namęczę się i co będę z tego miał? — myśli sobie zapewne ten i ów. A może tak myśleć nie bez powodu. Ludzie po technikach przechodzą do produkcji i stają przy warsztatach pracy obok tych półanalfabetów czy nawet analfabetów. Wszyscy zarabiają jednakowo, albo ten technik zarabia mniej. Nie wpływa to mobilizująco na głód wiedzy.

Coś się jednak mówi o tym, że mają być płace uregulowane w zależności od wykształcenia. Oby były jak najszybciej.

Aby wreszcie skończyć z tym podstawowym dokształcaniem dorosłych, warto by też chyba pomyśleć o zniżkach godzin dla ludzi uczących się. Zniżki te w ilości 6 godzin tygodniowo przysługują tylko uczniom liceów. I to nawet nie wszyscy z tych zniżek korzystają. Praktycznie korzysta z nich tylko 38,8 proc. uczniów liceów. Inni boją się, że zostaną zwolnieni z pracy, gdy się ich będą domagać. Uczniowie szkół podstawowych i to jedynie uczniowie klas siódmych mają prawo do dwutygodniowego urlopu okolicznościowego, ale znowu nie wszystkie zakłady to prawo respektują. Uczennice 31 szkoły otoczyły mnie w korytarzu szkolnym i skarżyły się, że dyrekcja zakładów „Optima" nawet na jedno czy dwudniową wycieczkę organizowaną przez szkołę nie daje im urlopów.

* * *

— Halo, Zakłady Dubois?
Tak, dział personalny, słucham.
— Może pani mi powie, czy są w waszych zakładach ludzie, którzy podpisują się krzyżykami?
— Analfabeci?
— Tak, analfabeci.
— Owszem, są. Ale to już ludzie starzy.
— Może mi pani podać wiek najmłodszego?
— Postaram się. Chwileczkę.
W słuchawce telefonicznej dość długo trwa cisza. Potem odzywa się trochę skonsternowany kobiecy głos.
— Halo, ten najmłodszy ma 30 lat — po tych słowach głos traci konsternację i dodaje trochę triumfalnie. — Ale on już u nas nie pracuje.

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

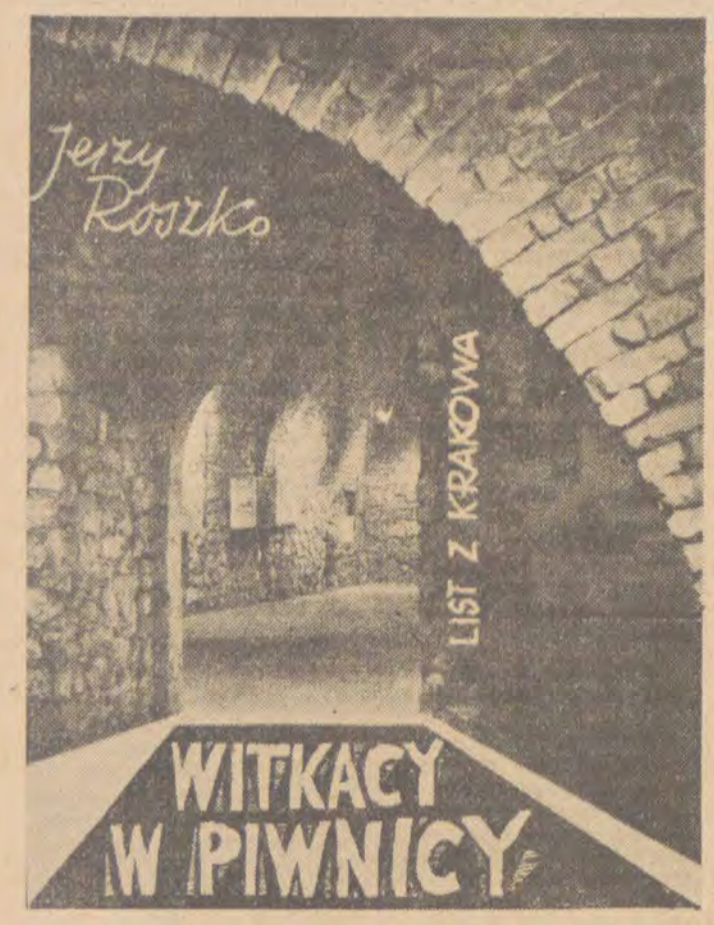

Z początku wszystko wygląda bardzo niepozornie. Kilka tablic o znormalizowanych formatach i kolorze, właściwych dla instytucji państwowych, które informują, że tu mieści się Zarząd Dróg Publicznych, Ośrodek Szkoleniowy WRN oraz inne instytucje o charakterze mniej lub bardziej publicznym. Portal bramy wyjazdowej poobijany przez auta co uspawiedliwia tabliczka nieco splowiała, ale aktualna: „Wjazd wzbroniony". Takie tabliczki mają w sobie coś z prowincji. I przy tym wszystkim mała gablotka ze zdjęciem pani Stefanii Górniak z napisem „Cricot II" przypomina o tym, że dawno oczekiwany teatr eksperymentalny otworzył swoje podwoje. Dowiadujemy się wreszcie, że szanowny nieboszczyk ożył i pędzimy co prędzej sprawdzić.

Przecież to już cztery lata upłynęły od chwili, kiedy na ostatnim przedstawieniu „Mątwy" w Domu Plastyków powiedzieliśmy sobie „Do widzenia w Krzysztoforach", nie przypuszczając, że widzieć się będziemy dopiero o cztery lata starsi. A więc „Cricot II" zainstalował się nareszcie w podziemiach „Krzysztoforów". Dawniej piwnice służyły rodakom do hodowli pieczarek — teraz pielęgnuje się w nich sztukę. Przy tradycji pieczarek trwają tylko wstecznicy arystokraci, jak pewien miejscowy hrabia, który zaopatruje w grzybki większość lokali Krakowa. Mogę pisać o tym śmiało, z kodeksu honorowego Boziewicza wszyscy się dziś śmieją, ale przestaną, kiedy tylko dobrze się zorientują w nowym kodeksie administracyjnym. Gdyby mimo wszystko arystokraci od pieczarek chcieli mnie ścigać przy pomocy sekundantów, postąpię jak ów świeżo upieczony baron, przysyłając na miejsce spotkania posłańca z listem: „Spóźnię się. Proszę strzelać beze mnie".

Ale wracajmy do Krzysztoforów. To nie maniera artystowska. Fakt, że Kantor z Grupą Krakowską zagnieździli się w piwnicy, został umotywowany ambicją stworzenia wspaniałego i nie posiadającego odpowiedników lokalu. Grupa Krakowska dokonała wielkiego dzieła konserwatorskiego — doprowadzenia piwnic krzysztoforskich do stanu pierwotnego, oraz stanu używalności.

Jakkolwiek zwykło się u nas przypisywać wszelkie zasługi bezimiennym kolektywom — postanowiłem postąpić antydialektycznie — dla wydobycia prawdy. Krzysztofory zrobił jeden człowiek, w co uwierzyć trudno — ale jest to osobnik pełen genialnego szaleństwa, któremu nie i nikt się nie oprze. Nazywa się Stanisław Balewicz i jest dyrektorem Krzysztoforów.

Sam uganiał się za wszystkim przez cztery lata. Namówił kogoś, aby na kredyt zaczął robić centralne ogrzewanie. Udało się. Sam zeskrobywał cement i wapno z murów, aby odsłonić ich pierwotną fakturę. Sam prowadził nadzór konserwatorski. Sam chodził i szukał pieniędzy na roboty. Był czas, że miał coś 200 tysięcy złotych długu na słowo honoru, niezapłaconych robotników i inżynierów na karku. Wybrnął, przebrnął i chwała mu.

Dajemy nura po schodach w dół. Mur, mur.... Jest kamienny mur wczesno-gotycki, jest cegła „palcówka", wąziutka cegła saska. W prawo, i w lewo, jedna za drugą — idzie amfilada kamiennych portali. Ta daje scenerię przypominającą olivierowskiego Hamleta.

Po lewej stronie jest sala kawiarniana. Nowoczesny kształt baru z wysokimi stołkami daje wspaniały efekt na tle ściany z kamienia. Ścianę podświetlają lampy, wychodzi w tym światłocieniu faktura murów. W kutej, weneckiej latarni, którą Balewicz wynalazł gdzieś w sieni na Starowiślnej — migoce płomyk świeczki. Lampa jakby wyjęta dopiero z poetyckiej rekwizytorni Gałczyńskiego. Takiego drugiego jak Balewicz nie znajdziesz nawet ze świecą!

Spacerujemy po betonowej podłodze piwnic, ciepłej — bo pod nią ukryto centralne ogrzewanie — Balewicz pokazuje gdzie i jak latał mury, bo dziś już po dawnej ruinie nie pozostało ani śladu. Tu wielka wyrwa załatana cegłą saską, tam znowu dawny otwór po windzie zakryty idealnie gotycką palcówką. W tyle, za salą widowiskową — jeszcze jeden portal trzeba odsłonić spod późniejszych nawarstwień muru. Trzeba jeszcze urządzić garderoby i zbudować klimatyzację. I jestem przekonany, że to wszystko będzie, bo Balewicz ma dar przekonywania. On by potrafił nawet zjednoczyć mydlarzy i filistrów w szlachetnym porywie popierania Krzysztoforów, niezależnie od treści, którą mieszczą.

Ale mydlarzy i filistrów jakoś w Krakowie już nie ma, oswoili się z nowoczesną sztuką, może tam i klną od czasu do czasu na płótna Kantora, ale w głębi duszy są dumni. Tak jakoś się dzieje, że coraz mniej protestów słychać w Krakowie pod adresem sztuki nowoczesnej. Można chłostać teraz tylko wyimaginowanego filistra. A to nie ma sensu.

O wpół do dziesiątej śpiewa Marta Stebnicka. Stare piosenki, które pamiętają chyba nasze prababki, a te nie chodzą do Krzysztoforów. Tak zaczyna się bal u Balewicza, którego częścią główną jest Witkacy zrobiony przez Kantora. Idzie sztuka Witkacego o małym, szlachetnym dworku. Szydercze epitafium. Dekoracjami są secesyjna szafa, stary kufer i wózek wypożyczony przez Balewicza od MPC. We wnętrzu szafy toczy się akcja przypominająca grę w rugby bez przerywania scenicznego dialogu, albo dialog bez przerywania oszalałej gry w rugby. Lokatorzy dworku bełkoczą, piszczą, krzyczą, miauczą, paplają. Kantor sięgnął po środki, które klasyczny teatr wyrzucił na śmietnik. Ale to są jedyne środki do inscenizacji znienawidzonej przez Witkacego „bebechowatości". Upiór dziedziczki jest jak najbardziej ludzki (i to jak jeszcze!). Żywi ludzie są upiorni. Nie ma filistrów. Na Witkacym protestują tylko potomkowie, którym obrażono upiornych szlacheckich antenatów. Krzyczą. Wolą widzieć w piwnicach hodowle pieczarek. Witkacy staje się z dnia na dzień bardziej zrozumiały i komunikatywny.

Piwnica w Krzysztoforach to coś, czego nigdy nie było. Piwnica artystów. Nie arystowska, siląca się na oryginalność. Krzysztofory są i będą krakowskim specialité de la maison, turystyczną atrakcją, osobliwością dla zagranicznych gości, którzy powiadają, że czegoś takiego jeszcze nigdy nie widzieli. Bąkają nieśmiało o niemieckich „steinkeller", wspominają o teatrze Meyerholda. Ale Krzysztofory nie dadzą się porównać z niczym.

W piwnicy odbyło się już 16 wystaw. Zanim jeszcze ożył „Cricot" — działała galeria „Krzysztofory". Była wystawa Jaremianki, karykatury Stopki, fotografika Hartwiga, abstrakcjoniści z Łodzi, pokazywano projekty architektoniczne. Grupa krakowska dała swoją zbiorową ekspozycję. To już poważny dorobek.

Przed dwoma bodaj laty obchodziło się Krzysztofory wokoło. Były podparte drewnianymi balami, był alarm, że grożą zawaleniem. A teraz jasno w piwnicy i spokojnie na piętrach, chociaż lokatorzy nie mogą jeszcze zapomnieć Balewiczowi, że ich wyrugował z podziemi razem z węglem i kartoflami. Krzysztoforom przestało grozić zawalenie. Jeśli jeszcze przypomnimy sobie, że remont i modernizacja jakiegoś tam małego baru przy Sławkowskiej kosztowały półtora miliona złotych — pojmiemy cały spryt Balewicza, który potrafił to wszystko wyczarować za jedyne 900 tysięcy. A przecież to była wielka robota konserwatorska, za którą państwowe przedsiębiorstwa wzięłyby kilka milionów.

Grożą jeszcze Krzysztoforom gastronomiczne ryby. KZG bowiem tuż nad piwnicą prowadzi magazyn rybny z którego woda od czasu do czasu ciurka na stoliki i dostojne głowy widzów. Nie jest wykluczone, że niedługo na stoliki zaczną spadać rybki. Trzeba na gwałt to nonsensowne sąsiedztwo zlikwidować, bo znowu Krzysztofory zaczną się walić. A przeciwnicy Witkacego znajdą w tym palec Boży, który cisnął sklepienie na głowy obrazoburców, szargających świętości.

Dlatego od razu sygnalizuję problem ryby, aby się nie doszukiwano w przyszłości przyczyn metafizycznych.

Marta Stebnicka

Wystawa łódzkich malarzy — abstrakcjonistów w Krzysztoforach.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

SPRAWA NAJTRUDNIEJSZA

Jest nią sprawa młodzieży. Olbrzymia ilość artykułów i rozpraw na ten niezwykle skomplikowany i kłopotliwy temat stwierdza jedno: młodzież dzisiejsza jest inna, niż sobie ktokolwiek z pedagogów i nawet socjologów wyobrażał piętnaście lat temu. I niż sobie dzisiaj wyobraża, jaka powinna być, sądząc z warunków, stworzonych im przez starszych i stwarzanych przez nich samych. Rozmawiałem na ten temat z wielu wychowawcami, kierownikami świetlic i opiekunami organizacji młodzieżowych — wszyscy zdawali się być wyraźnie zaskoczeni pewnymi objawami, które trudno im było przewidzieć. Widocznie w samym pojęciu wychowawstwa, w jego praktycznych metodach, w jego aktualnej pragmatyce, są jakieś zasadnicze błędy, które nie pozwalają zaradzić skutecznie temu samorodnemu procesowi, skoro rezultaty nie odpowiadają założeniom, skoro skutki nie wynikają z zamierzeń. Młodzież dzisiejsza po prostu wymyka się spod wszelkich szkolnych czy raczej szkolarskich ingerencji, kwalifikacji, miar i ocen.

Jest inna. To dobrze. Powinna być inna. Ale jak inna? I tu zaczyna się cały, powiedziałbym, dramatyczny ambaras. Bo, że jest inna, to zwykła kolej rzeczy. Ale ona jest niespodzianie inna! Ta jej inność nie została przez nikogo przewidziana i to jest ten moment zaskoczenia, którego doświadcza każdy, kto z młodzieżą i jej sprawami ma jakąkolwiek bezpośrednią styczność.

Oczywiście nikt już dzisiaj nie twierdzi, że tylko dom rodzinny, szkoła, organizacje ideowe, rozrywki i książki wychowują i kształtują młodzież. Być może przeceniano znaczenie tych czynników. Z całą pewnością za to nie doceniano roli wychowawczej czynników pozaszkolnych i pozaorganizacyjnych, czynników, że tak powiem, spontanicznych samego życia: obyczajowego, społecznego i politycznego. Młodzież więcej uczy się z tego, co sama wbrew sobie i starszym zauważa, niż z tego, co się jej do zauważenia gwoli nauce i wychowania podaje. Słowem, jej własna interpretacja rzeczywistości i faktów życia bieżącego jest dla niej bardziej miarodajna i skuteczna w sensie wychowawczym, niż interpretacja tejże rzeczywistości i tych faktów dokonywana i podawana jej przez starszych w domu, w szkole, w organizacjach i w książkach. Inaczej, czynnik samowychowania młodzieży gra o wiele większą rolę dziś w epoce bezpośredniego jej dostępu do pisma codziennego, radia, filmu, telewizora, niż dawniej, kiedy jedynie szkoła była miarodajną tubą interpretacji życia. Sądzę, że tu gdzieś w pobliżu leży rozwiązanie dręczącego wszystkich problemu tak zaskakującej, nie zawsze zresztą przykro, inności naszej młodzieży. O miłych, a nawet nieraz budujących, objawach u naszej młodzieży w następnym „sednie rzeczy".

Sam jestem ojcem, który od lat obserwuje narastającą inność swego syna i jego nieraz skrajnie odmienne reakcje na wspólne nam sprawy. Obserwuję też liczne momenty zaskoczenia u swoich kolegów po piórze, którym dzieci wychowywane według wszelkich reguł świadomej pedagogiki domu, szkoły i literatury wykazują często tak wielkie odchylenia od spodziewanych rezultatów, że stają się nie lada problemem o wymiarze wprost dramatycznym.

Ta inność cechuje młodzież na wszystkich szczeblach jej zainteresowania. Mówię szczeblach, a nie skali, bo zainteresowanie literaturą, plastyką lub teatrem, to wyższy szczebel, niż bardzo szlachetne skądinąd i godne pochwały zainteresowanie hodowlą morskich świnek, filatelistyką lub kolarstwem. Byłem przez kilka lat kuratorem i opiekunem rozmaitych kół i klubów „młodych twórców" — zaraz od pierwszych lat powojennych. Miałem okazję obserwowania stopniowego wzrostu w miarę lat tej inności młodzieży na tym wyeksponowanym społecznie, że tak powiem, szczeblu. I tutaj dawała się spostrzegać ta sama reguła. Młodzież ta, często bardzo zdolna, ale o prymitywnym zasobie wiedzy z dziedziny, w której zamierzała grać rolę twórców i reformatorów, nie chciała przyjmować od starszych żadnych doświadczeń żadnego dziedzictwa tradycji. Żądała tylko jednego: bezpośrednich materialnych świadczeń i uznania. Uznania ich talentu i prawa w jego imię do ferowania ostatecznych wyroków w sprawach literatury. Stan ten trwa do dziś. Absolutna pogarda dla dorobku starszych, połączona z euforycznym kultem własnych nikłych realizacji, które zazwyczaj nie wytrzymują próby druku jednego czasopisma, gdyż okazują się bezkrytyczną imitacją dawno przebrzmiałych herezji. Leniwa ignorancja idzie tutaj w parze ze ślepym naśladownictwem tego, co modne, wspierając walnie jałową bezmyślność stadnej umowności. Czepiają się jak pijani płotu każdej nowej formy, którą ktoś gdzieś kiedyś wymyślił i już ją imitują — i to uważają za swoje nowatorstwo. Te obce wypłuczyny mają być ostateczną miarą wartości. Przeczytajcie dla przykładu „Anda" Stanisława Czycza w tegorocznym 3-cim zeszycie „Twórczości". Małpie grymasy młodopolszczyzny idą tu o lepsze z bełkotliwą pretensjonalnością antyprozy Michela Butora. Treść? Dwóch rozkładających się fizycznie i moralnie młodych lumpów, nie mytych od urodzenia, uważających się za poetów, pije wódkę, gra w karty i w guziki, rzyga, maca przypadkiem napotkane córy Koryntu, wredzi od rzeczy, śmierdząc nieustannie mieszaniną potu, spermy, womitów i g... Co to jest? Jakiej rzeczywistości w Polsce dzisiejszej, z takim trudem odbudowującej się z ruin w sensie fizycznym i duchowym, odpowiada ten utwór, typowy produkt rzekomego nowatorstwa w naszej najmłodszej literaturze? Słusznie w ostatnim numerze (17—217) „Polityki" czytamy o tym utworze: „Wypada sobie zadać pytanie: jak daleko zaszlibyśmy w sztuce pisarskiej, na drodze intelektualnego rozumienia i opanowania świata, gdybyśmy zgodzili się na to, by każdy faktyczny chaos i każdy faktyczny bełkot był przekazywany czytelnikom w formie nieczytelnych, niezrozumiałych kartek zapisanego papieru?".

Oto sprawa najpilniejsza i najtrudniejsza z najbardziej trudnych — sprawa młodzieży, naszej przyszłości. Jeśli jej, tej sprawy, w najbliższym czasie nie rozwiążemy — możemy przegrać tę przyszłość.

EWA DĄBROWSKA

Śmiech i ultramaryna

Twój śmiech
krzesany w locie o płaszczyznę cienia
został odcięty ode mnie wraz z tobą
mijasz krawędź, przechodzisz w inny wymiar
jeśli jesteś
jesteś poza mną więc cię nie ma

a ja
w punkcie przecięcia utrwalonym precyzyjnie
w centralnym punkcie zmierzchu
o którym nic nie wiem
ślepa i niestrudzona badam chłodną przestrzeń
zgadując barwę zmierzchu —
wieczność wobec iskry
jakże zbyteczną iskrze

Na śmierć zegarka

Wyzwolony z dogmatów astronomii
niemy
w poprzek mrówczej ścieżki sekund
jeszcze więzi w sobie ostatnią —
starczy uchylić wieko

cóż wobec niej ślady zakrzepłe
pościgów
okrążeń daremnych
wobec niej która wszystko łamie
która jest ostatnia i pierwsza

ponad ostygłą bieżnią
w świegotliwym niebie zegarków
sens przywraca straconym sprawom

Twarze

Nawet ty
nie jesteś niczym więcej
jak zerwanym po drodze ostem
a może jesteś przypomnieniem ostu
cenniejszym o balast kolczastego mitu

lecz nawet ty
zostajesz wreszcie za szybą gabloty

nadawałam imiona rzeczom
dobrym złym obojętnym
mówiłam
serce oset spadające gwiazdy

myślałam
gdzie jestem
gdzie jestem
czemu mnie nie ma

nadawałam imiona rzeczom
jesteś jedną z rzeczy nazwanych
jesteś obok
zaciskasz powieki
i nie można cię już opowiedzieć

to jest natura ostów
coraz mniej rzeczy znajomych
przesuwają się nie nazwane
godziny
krople
puste szklanki
równi faceci znad pustych szklanek
uśmiechają się do lustra
szukają własnych twarzy na skrzypiących łóżkach
równi faceci i równe dziewuchy
nazywają rzeczy jakimi są
odnajdują rzeczy jakimi są
ręce twarze zgubioną spinkę

nadawałam imiona rzeczom
myślę
że one też
nazywały mnie po swojemu
przydrożnym zielskiem ostem gwiazdą spadającą

lecz nawet ty
nie przekroczysz
ścierpniętej tafli szkła przed moją twarzą
szamoczącą się na oślep
od niepewności do niepewności
od przerażenia do przerażenia

nie nadawaj mi żadnego imienia
pozwól mi słuchać
jak je powtarza niestrudzenie
jak coraz bliżej
śmielej
dźwięczy skwapliwa kosa

KONKURS rozstrzygnięty

Jak już Czytelnikom z prasy codziennej wiadomo, konkurs na pomnik Juliana Marchlewskiego został rozstrzygnięty. Trzy dni temu w hallu Pałacu Sportowego przewodniczący jury rektor Akademii Sztuk Plastycznych prof. Marian Wnuk odczytał nazwiska nagrodzonych artystów.

Oczywiście, cieszy nas, że komisja konkursowa wybierając spośród 50 nadesłanych prac bardzo wysoko oceniła projekty łódzkich rzeźbiarzy. Pierwszą bowiem nagrodę otrzymali Elwira i Jerzy Mazurczyk (Jerzy Mazurczyk współpracował, jak wiadomo, z prof. Lubelskim, przy rekonstrukcji pomnika Kościuszki). Trzecią nagrodę otrzymała również para łódzkich artystów — Antoni Bilas i Władysław Bojkow. Przedstawiciele innych środowisk (Kraków, Warszawa) znaleźli się w grupie wyróżnionych.

* * *

Prac, nadesłano sporo. Różnice w stylach i rozwiązaniach były niezmiernie duże. To oczywiście bardzo dobrze. Myślimy, iż właśnie dlatego prof. Marian Wnuk powiedział, że „konkurs przyniósł naprawdę dobre wyniki i był jednym z najlepiej zorganizowanych konkursów".

Tylko... to oczywiście wątpliwości laika, ale pominięto chyba w wyróżnieniach (nie śmiemy kwestionować pierwszych nagród) prace nieraz bardzo dobre. Jedna z lepszych chyba prac — projekt nr 12 przedstawia skalny jak gdyby masyw z zarysem sylwetek robotników i wysuniętą naprzód postacią Marchlewskiego. Ta surowa rzeźba robi naprawdę duże wrażenie.

Wiele natomiast (wśród wyróżnionych także) jest prac „letnich", chciałoby się rzec, nijakich, poprawnych zaledwie. Ot, Marchelwski na cokole z ręką wyciągniętą, Marchlewski z rękami założonymi, Marchlewski zrobiony trochę pod pomnik Mickiewicza w Warszawie itp.

Żeby być dokładnym, należy dodać, że podobne zarzuty wysuwali w rozmowach kuluarowych plastycy, a więc przecież ludzie rozeznani w przedmiocie.

Oczywiście, nikt nie pragnął przecież, aby wyróżniono rzeźby ekstrawaganckie (a i takie, szczególnie jedna, były nadesłane). Zgódźmy się jednak z faktem, że pomnik zbudowany będzie również i może przede wszystkim także dla przyszłego pokolenia. A pojęcia estetyczne są jednak kategorią historyczną. Akademicka figura (celowo używam tego określenia) czy grupa figur podobać się może dziś jeszcze, ale za lat powiedzmy 20?

Trudno, oczywiście, po decyzji jury dyskutować nad ponad pięćdziesiątką nadesłanych projektów. Myślimy jednak, że z ośmiu nagrodzonych prac komitet budowy pomnika wybierze najcelniejszą.

J. W.

III Nagroda — Antoni Bilas i Władysław Bojkow

I Nagroda — Elwira i Jerzy Mazurczykowie

Wyróżnienie — Zofia Wolska i Bohdan Chmielewski

Dlaczego GAGARIN nie mógłby wylądować w Łodzi?

(Dokończenie ze str. 2)

Za nieudolność, brak synchronizacji i nieodpowiedni rozkład lotów komunikacji lotniczej nie można obarczać społeczeństwa ale Ministerstwo Komunikacji.

ODPOWIEDŹ NA ARGUMENT OSTATECZNY

Jako, że jest to argument najmniej ważny, ba, kompromitujący, a więc automatycznie pozbawiony wszelkich cech rzeczywistości — nie traktuję go także jako argumentu i nie będę kruszył w tym wypadku kopii.

Z tego co tu wyżej przedstawiłem wynika niewątpliwie jedno: pozbawienie Łodzi portu lotniczego nie jest wyłącznie sprawą prestiżu tego miasta, ale sprawą szerszej wagi. Likwidacja portu lotniczego łączy się nierozerwalnie z dewastacją lotniska, które zbudowane zostało kosztem wielu milionów złotych i nie jest eksploatowane współmiernie do swych możliwości i do potrzeb społecznych.

Obecnie łódzkie lotnisko oddane jest do dyspozycji miejscowego aeroklubu, znanego powszechnie z anemicznej działalności, ponieważ zrzesza w swych szeregach zbyt małą liczbę młodzieży.

Oczywiście, sprawa lotniska pozostaje otwarta. O tym, czy przywrócić tu port lotniczy (a może tylko jakiś przystanek) czy też może stworzyć w Łodzi wielki ośrodek szkoleniowy przygotowujący nowy narybek dla lotnictwa; zadecydują zapewne odpowiednie władze, którym ten problem dedykuję. Ale czy na pewno zadecydują? Nie wiem. Może?

KAROL BADZIAK

odgłosy str. 7

Biblioteka Łódzkiego Domu Kultury

Fot. L. Fogiel

Witold Wieczorek

NA DZIEŃ BIBLIOTEKARZA

Książki trzeba kochać

Krystyna Lewicka

14 maja ogłoszony został (o czym nie wszyscy pewnie wiedzą) Dniem Bibliotekarza. Z tej okazji spędziłem długie chwile w towarzystwie p.p. Krystyny Lewickiej, kierowniczki Biblioteki ŁDK, Jana Augustyniaka — dyrektora Biblioteki im. Waryńskiego i Witolda Wieczorka pracownika tejże biblioteki, z którymi w przemiłej atmosferze rozmawiałem o radościach i smutkach zawodu bibliotekarza.

Dla przeciętnego czytelnika praca bibliotekarza polega na wydawaniu i zapisywaniu książek, a największą trudnością wydaje się opanowanie systemu katalogowania. Jak jednak ta praca wygląda z drugiej strony bariery?

Jest „nieco" bardziej złożona. W ogromnym skrócie wygląda to tak: trzeba czytelnika nowicjusza wydobyć z tłumu, zdobyć jego zaufanie, zachęcić do stałego korzystania z biblioteki. Następnie należy znaleźć „klucz" do każdego z Czytelników, zwracając uwagę na typ jego psychiki, stopień rozwoju umysłowego, a nawet na chwilowy nastrój. Dopiero dokładne poznanie czytelnika pozwala na realizację hasła: właściwa książka właściwemu czytelnikowi we właściwym czasie, pozwala uniknąć chaosu w doborze książek, pogłębić jego czytelnictwo.

Bezpośrednio z tym związana jest druga część naszej pracy, polegająca na teoretycznym opracowaniu zasad stosunku do czytelnika. Zajmuje się tym Koło Badawczo-Naukowe Pracowników Bibliotek przy Bibliotece im. Waryńskiego.

— Skoro mowa o kształtowaniu czytelnika chciałbym wiedzieć jak dajecie sobie radę z niepoprawnymi amatorami lektur sensacyjnych i kryminalnych?

— Wychodzimy z założenia, że czytelnik nie może na tym poprzestać. U takiego czytelnika, zwłaszcza młodego, staramy się wyszukać inne zainteresowania i obok kryminału dać mu książkę z dziedziny filmu, sportu itp.

Jan Augustyniak

— Znane ogólnie są kłopoty bibliotekarzy: niskie pensje, fatalne lokale bibliotek itd. Co powoduje, że mimo wszystko bibliotekarze pozostają wierni swemu zawodowi?

— Nie jest tak dobrze. Uciekają do innych zawodów, zwłaszcza młodzi. Ci, którzy zostają to nałogowcy. Mówiąc poważnie otuchy dodają nam widoczne wyniki naszej pracy. Wzrasta ilość czytelników, wzrasta poczytność literatury popularnonaukowej, wzrasta procent robotników wśród członków bibliotek (do 30 proc.). To daje świadomość społecznej pożyteczności naszego zawodu. Wiemy doskonale jak wiele jest jeszcze do zrobienia — to zachęca do pracy. Musimy jednak wspomnieć o rzeczy chyba najważniejszej — książki trzeba kochać i kochać swój zawód.

— Na zakończenie chciałbym usłyszeć na czym polega novum wprowadzane w bibliotece ŁDK?

— Tak zwany wolny dostęp do półek pozwoli czytelnikowi swobodnie szperać wśród książek, co w połączeniu z poradami bibliotekarzy ułatwi mu wybór. System taki oszczędza czas i czytelnika i bibliotekarza. Eksperyment ten przyniósł w innych krajach bardzo pozytywne rezultaty.

Dziękując za informacje składam 14-majowym solenizantom w imieniu naszych Czytelników podziękowania za szarą, codzienną pracę i życzenia dalszych sukcesów.

Rozmawiał: JERZY DĘBSKI

Oprac. Witold Wieczorek

Biblioteki łódzkie znane są nie tylko w naszym kraju. Wzmianki o największych z nich: uniwersyteckiej i miejskiej spotkać można w publikacjach angielskich (The World of Learning 1958—59), czeskich (D. Gawrecki: Budovy polskych knihoven, Ostrava 1957) i in. Miejską Bibliotekę Publiczną w Łodzi wspomina także wybitny hinduski teoretyk współczesnego bibliotekarstwa prof. dr R. S. Ranganathan z Madras w słynnej pracy o pięciu prawach bibliotekarstwa. (The five laws of library sciens. Madras, The Madras Library Asscіation — Londyn, 1957 wyd. 2).

Wiceprzewodniczącą Rady Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Bibliotekarzy (IFLA) z siedzibą w Monachium, a zarazem reprezentantem wszystkich krajów słowiańskich w IFLA jest dyr. Biblioteki U.Ł. prof. dr Helena Więckowska. Łódzcy bibliotekarze uczestniczą nadto w Radzie Kultury przy Ministrze Kultury i Sztuki (prof. Jan Augustyniak), w Komisji Bibliotecznej Rady Głównej Min. Szkolnictwa Wyższego (prof. dr H. Więckowska i doc. dr J. Waręźak), w Zarz. Gł. Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich (J. Augustyniak, H. Więckowska, I. Nagórska), jak również w zespołach redakcyjnych czasopism fachowych: Przegląd Biblioteczny i Bibliotekarz.

W marcu 1945 r. przy Uniwersytecie Łódzkim powstała pierwsza w Polsce Katedra Bibliotekoznawstwa, prowadzona przez prof. dr Jana Muszkowskiego, a od 1953 r. przez prof. dr Helenę Więckowską. W pierwszym okresie działania katedry (do 1954 r.) 48 jej słuchaczów uzyskało dyplomy magisterskie, a 62 — dyplomy zawodowe I stopnia. W 1948 r. katedra przyjęła pierwszy w Polsce przewód habilitacyjny z bibliotekoznawstwa, nadając dr. A. Łysakowskiemu tytuł docenta, zaś w 4 lata po tym przyznała mgr Głombiowskiemu pierwszy z tego zakresu dyplom doktorski. Dwuletnie eksternistyczne studium bibliotekarskie dla absolwentów studiów I st. działające przy katedrze od 1956 r. wydało dalszych 9 dyplomów magisterskich. W 1960 r. z katedry łódzkiej wyszło 3 doktorów nauk humanistycznych w zakresie bibliotekoznawstwa.

Dużą samodzielność przejawia w naszym mieście Biblioteka Łódzkiego Domu Kultury. Kierowniczka tej placówki Krystyna Lewicka utrzymuje kontakt z bibliotekarzami zagranicznymi. Wzorując się na ich doświadczeniach Biblioteka ŁDK wprowadza próby uproszczenia i unowocześnienia czynności technicznych, przyczyniając się tym do sprawniejszej obsługi czytelnika. Nowatorstwem tym daje ona przykład innym bibliotekom polskim. We wrześniu 1961 r. Biblioteka ŁDK skupionym przy niej 4.000 czytelników z całego miasta udostępni swój księgozbiór na zasadzie wolnego dostępu do półek.

W Łodzi w 1946 r. powstał pierwszy w naszym kraju Państwowy Instytut Książki, którego inicjatorem i dyrektorem był dr Adam Łysakowski. Pionierskie poczynania tej centralnej placówki badawczej i instrukcyjnej w zakresie wszelkich spraw bibliotecznych — kontynuują obecnie: Instytut Bibliograficzny oraz Instytut Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Bogatę w tradycje pracy oświatowej bibliotekarzy łódzkich bibliotek miejskich towarzyszy działalność naukowa i publicystyczna. Pracownicy Miejskiej Biblioteki Publ. im. L. Waryńskiego w okresie od 1945 r. ogłosili drukiem 98 prac fachowych z zakresu czytelnictwa, bibliotekarstwa i wiedzy o książce. Wyszły one spod piór 22 autorów, wśród nich J. Augustyniaka, L. Nagórskiej, I. Lepalczyk, W. Wieczorka, J. Adler, Z. Rudnickiej, B. Durajowej i in. Do rozwoju prac badawczych związanych bezpośrednio z warsztatem pracy bibliotecznej przyczynia się działające od 1958 r. „Koło badawczo-naukowe pracowników bibliotek miejskich w Łodzi."

W roku 1961 dwie spośród rejonowych wypożyczalni książek dla dorosłych jako pierwsze w Łodzi placówki biblioteczne tego typu zapoczątkowały udostępnianie swoich zbiorów na zasadzie wolnego dostępu do półek.

Fot. J. Wilmański

Województwo najbliższe

Sobota

Stara anegdota mówi o tym jak to pewien szlagon obraził się, gdy na pytanie gdzie leży Sobota odpowiedziano mu, że koło Piątku. Ale cóż robić kiedy to prawda. A anegdota jest naprawdę stara, tak chyba stara jak Sobota, wieś założona na prawie niemieckim około 1250 roku. Największa osobliwością miasteczka jest stary, kilkusetletni zajazd. Niestety, oryginalna budowla widoczna na zdjęciu tym zajazdem nie jest. Jak bowiem podaje „Katalog Zabytków Sztuki w Polsce": „z rozebranego w części budynku pozostału ślady zarysu całości oraz część frontowego skrzydła" Na zdjęciu widzimy starą bo liczącą sobie ponad 100 lat remizę strażacką która jednak zabytkiem nie jest. To oczywiście nie przeszkadza mieszkańcom Soboty wmawiać nieświadomym przybyszom że właśnie widzą zabytkowy zajazd.

W XVII wieku i wcześniej istniały w Polsce dwa typy budowy zajazdów: Do pierwszego zaliczane były budowle mające za podstawę literę „T".. Jak można wywnioskować z zarysu fundamentów zajazd w Sobocie należy do tego pierwszego typu. Gdyby więc zachował się w całości mielibyśmy najstarszy chyba w Polsce zabytek budownictwa tego rodzaju

Niestety, z zajazdu pozostały tylko resztki, notka w „Katalogu" i... awansowana na zabytek remiza strażacka.

JERZY WILMAŃSKI

ESEJ, DZIENNIK, REPORTAŻ

Stanisław Czernik

W ten skrótowy sposób określić można by książkę Stanisława Czernika. *Trzy Podróże*, trzy turystyczne przygody, trzy różne formy pisarskie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że dwa z krajów, po których wojażował autor, są dla przeciętnego polskiego czytelnika prawie zupełnie nie znane. Chodzi o stosunkowo bliską Albanię i odległe Chiny. Nasza znajomość ludzi, tradycji i kultury tych krajów jest więcej niż niewielka. Książka Czernika wniosła w tę naszą bardzo niepełną, fragmentaryczną, a czasem wręcz spaczoną wiedzę niezwykle dużo nowych, popartych literaturą informacji.

„Trzy podróże" w sposób zasadniczy różnią się jednak od dziesiątków podróżniczych publikacji. Książka nie przynosi niejako z lotu ptaka czynionych obserwacji. Turystyczna przygoda wsparta bogatą literaturą przedmiotu, jest tylko pretekstem do przemyśleń i refleksji. Czernik pisze o tym co widział i słyszał, ale pisze nie jako przypadkowy obserwator, ma bowiem za sobą potężny bagaż wiedzy czy to o rozgrywkach Ali Paszy z Ibrahimem Paszą w początkach XIX wieku, czy o Skanderbegu, murze chińskim, walce Bułgarów z Turkami...

„Spotkaniom chińskim" poświęcił autor niemal połowę swej książki. Problemy Chin, zwłaszcza Chin dzisiejszych, powodują wiele nieraz sprzecznych opinii i sądów. A przecież nie wystarczy przeczytana w gazecie notatka o rzuconym przez Komunistyczną Partię Chin apelu powszechnego pisania wierszy, połączona z informacją, iż wierszy tych powstało na ów apel kilka milionów. Konieczne jest — dla zrozumienia choć w części tzw. polityki chińskiej — ukazanie całej złożoności tamtejszych problemów, całej specyfiki stosunków, by pojąć ogromne znaczenie kulturowe tego, zdawałoby się paradoksalnego apelu. Stanisław Czernik dokonał bardzo wiele. Zbliżył bowiem polskiemu czytelnikowi kraj tak odległy i tak nieznany. Odnosi się to nie tylko do „chińskiej" części książki. Na przykład nasza wiedza o bliskiej i zdawałoby się znanej Bułgarii jest — okazuje się — bardzo niepełna w świetle kapitalnego „dziennika bułgarskiego".

Jest tylko chyba jedno zastrzeżenie i to raczej pod adresem Wydawnictwa. Byłoby na pewno nieźle, gdyby na końcu książki znalazła się bibliografia. Taki zestaw pozycji ułatwiłby penetrowanie wydanych dawniej publikacji na powyższe tematy. A książka do takich penetracji zachęca. Sprawdza się widać przysłowie o apetycie rosnącym w miarę jedzenia. Zwłaszcza, gdy spożywamy coś naprawdę dobrego.

Stanisław Czernik — „Trzy podróże". Wydawnictwo Łódzkie, 1961, nakład 3 tys. egz. cena 16 zł.

(Dalszy ciąg ze str. 7)

belfrach i o maturze. Największym przeżyciu, największej emocji z lat szkolnych. Bo były matury żne — surowe, wielu oblało lub dęte — zdało 100 proc. maturzystów, ale zawsze pozostawało tak samo wielkie przeżycie, emocja, i pozostał zawsze tak samo miły i aktualny temat do wspomnień.

Już niedługo zobaczysz na ulicach obok szkół — ich — odświętnie ubranych, w ciemnych garniturach z zacięciami po pierwszym goleniu, lub w białych bluzeczkach, inaczej niż zwykle uczesane. Będą rozprawiali gorączkowo z wypiekami na twarzy, będą oblegani przez rodziców. I właśnie na ten widok przystaniesz na chwilę i pomyślisz, policzysz: to już trzy lata — pięć lat, dziesięć lat...

Czy byliśmy tacy sami? Młodsi czy starsi? Mądrzejsi? Czy trochę poważniejsi? — jacy właściwie oni są? Kim oni są?

BOGUSŁAWA

Po maturze idę na politechnikę, na wydział budownictwa lądowego. Tak, mam zainteresowania matematyczne. Do swojej szkoły chodzę cztery lata. Myślę, że ona różni się bardzo od innych szkół. Czym się różni? Serdecznością i przyjaźnią w stosunkach między nauczycielami a uczniami, tym, że się czujemy tutaj jak w rodzinie.

MIROSŁAWA

Nie, jeszcze nigdy się nie kochałam. Nie zastanawiałam się nad tym. Myślę, że dobrze jest mieć kolegów, móc się czasami zwierzyć i poradzić, żeby czasami pomogli. Tak, mam takiego kolegę.

JOLANTA

Nie będę studiowała, przynajmniej na razie. Pójdę do pracy. No, chyba do biura, jeszcze dobrze nie wiem gdzie, nie ma fachu. O czym rozmawiam z koleżankami? O tym co mnie najbardziej interesuje — życie towarzyskie, sport, film. Nie, na lekcjach nie dyskutujemy o filmach.

STANISŁAW

Nie przypominam sobie takiej lekcji, kiedy można by było zupełnie szczerze powiedzieć o swoim stosunku do świata i jego problemów. My w swoim gronie też nie rozmawiamy na te tematy. To chyba sprawa atmosfery. Jesteśmy zasypani faktami, datami, terminami, pojęciami, definicjami, to skąd możemy widzieć świat?

SYLWESTER

Chcę iść na prawo, żeby potem zająć się przestępczością wśród nieletnich. Już od dwóch lat interesuję się tym problemem, mam wiele znajomości w tym światku. Co myślę o swoich rówieśnikach, o młodzieży? Jest dobra. Ale jednocześnie upozowana, ta poza narzucona jest z góry. Sam nie wiem skąd się biorą te style, te fasony. Jeśli jest wolny czas, to co można robić? Idzie się do kawiarni, w sobotę na „ubaw". Tam gromadzi sie ta złota młodzież. No, a kiedy wejdziesz między wrony... ZMS w szkole nie widać, to znaczy w naszej szkole. Zbierają składki, czasami organizują jakiś występ na akademii.

KRYSTYNA

Nie uważam, że można mówić o jakichś rodzinnych stosunkach w szkole. Jest ten oficjalny stosunek między profesorami a uczniami. Mam zainteresowania humanistyczne, interesuje mnie psychologia, literatura. Szkoła na pewno nie uwzględnia rzeczywistych potrzeb — nie zaspokaja zainteresowania literaturą współczesną. Zaspokajamy je metodą: każda noga na własną rękę. Czy jestem wierząca? Bo ja wiem... czy to takie ważne?

KINGA

Mam zainteresowania malarskie, pójdę na Wyższą Szkołę Plastyczną. Myślę, że młodzież jest bardzo powierzchowna, niczym się głębiej nie interesuje, jest jakaś zblazowana.

My i świat

Z wielu rozmów, które przeprowadziłem w gabinetach dyrektorów, na korytarzach szkolnych w czasie pauz, na ulicy przed szkołą, wybrałem kilka najciekawszych wypowiedzi. Mogę prawie ręczyć za ich szczerość. Czasem mimowolną, przez urywkowe zdanie, które się przypadkowo wymknęło, czasem szczerość zupełnie świadomą. Mówili przeważnie o sobie, o swoich rówieśnikach. Mówili czasem w poczuciu świadomości, że reprezentują szkołę, że trzeba aby „wypadła" najlepiej, a czasami zupełnie swobodnie, nieraz złośliwie. Mówili inteligentnie, dowcipnie, pełnymi okrągłymi frazesami, lub nieśmiało, z zażenowaniem, urywanymi zdaniami. Prawie zawsze mówili: „młodzież jest dobra", i „nie ma rozbudzonych zainteresowań" i „jest zblazowana".

Autorami tych wypowiedzi byli bardzo młodzi ludzie.

I tu już czas na pierwszą konkluzję.

Matura — świadectwo dojrzałości. Czasami nawet 16-letni chłopiec jest „dojrzały" po złożeniu określonej ilości egzaminów, w czasie których miał się wylegitymować dostateczną znajomością określonej wiedzy. Wiedzy bardzo niepełnej i bardzo fragmentarycznej. Czy można powiedzieć, że dojrzały jest człowiek opuszczający szkołę ogólnokształcącą która nie nauczyła go zawodu, nie dała mu podstawowych wskazówek do wykonywania prostych nawet czynności politechnicznych, która nie nauczyła go ani współczesności, ani obcowania z tą współczesnością? Oczywiście nie, i to stwierdzenie nie jest żadną rewelacją, powtarzane bowiem było już bardzo często.

Matura na pewno jest w pewnym sensie fikcją, nie ma bowiem mowy w olbrzymiej większości wypadków o dojrzałości umysłowej, o sprecyzowaniu się i utrwaleniu zdecydowanego światopoglądu. Nie ma także choćby zalążków życiowej filozofii, nie ma w końcu mowy o postawionym w tytule problemie „my i świat". To wszystko przychodzi na pewno już po egzaminie dojrzałości.

O swoich wychowankach mówią nauczyciele:

Trzeba bardzo wyraźnie zaprotestować przeciwko rozpowszechnionemu w społeczeństwie sądowi, że młodzież jest zła, cyniczna, Tymi określeniami można objąć tylko niewielką jej grupę. I trudno się dziwić, że taka grupa istnieje. Przed młodzieżą bowiem stawia się wysokie wymagania, nie daje się jej natomiast dobrego przykładu. Rozpadające się rodziny, pijaństwo i malwersacje o których ciągle się słyszy — w zestawieniu z przykazaniami rodziców nie brzmią przekonywująco. Poza na pewno przemija. Jest ona wynikiem naturalnej reakcji na pewne przejawy życia społecznego. Wiele dla młodzieży zrobić może szkoła, która pracuje przecież w tak ciężkich warunkach, nauczyciel przez poważne traktowanie swoich uczniów. Wiele zrobić może organizacja młodzieżowa. Niestety, ZMS w szkołach działa wciąż jeszcze niemrawo i nieoperatywnie, obejmuje niewielką część młodzieży. W tych warunkach zaczyna się doceniać ZMP, który mimo swoich bardzo licznych błędów był organizacją jednoczącą młodzież i przykładającą wielką wagę do spraw jej zewnętrznej reprezentacji.

Mimo wszystko młodzież jest w swej wielkiej masie bardzo przywiązana do szkół, które opuszcza po maturze. Często przychodzą do swoich dawnych szkół uczniowie, którzy już teraz pracują lub studiują — a tych jest najwięcej.

Opuszczają szkoły najróżniejsze pokolenia maturzystów. Począwszy od tych pierwszych powojennych, od matur które zdawali ludzie starsi, naprawdę dojrzali, dla których lata szkolne były już tylko latami potwierdzania wiedzy uprzednio nabytej, do pokoleń obecnych najmłodszych, których świadectwa są dość wątpliwym i zwodniczym narzędziem obrony przed trudnościami i problemami samodzielnego, „dorosłego" życia.

Myślę, że wszystkie te pokolenia mimo wszystko łączy jedno uczucie — przywiązanie do szkoły, która im dała początek życiowej edukacji. Czasami to uczucie jest mało usprawiedliwione, bo bywały i może bywają szkoły, z którymi uczniowie przez czas nauki walczyli o jakieś ideały, toczyli spory, których echa pozostają na całe życie. Czasem jest to uczucie zrozumiałe i wytłumaczalne — to w wypadkach kiedy szkoła potrafiła zamienić się w rodzinę, w organiczne, małe społeczeństwo.

I to pokolenie, ci maturzyści których opinie o szkołach są tak podzielone będą wspominali kiedyś swoich nauczycieli, kolegów, szkoły, z niekłamanym wzruszeniem.

A przy okazji tegorocznej matury warto się chyba jeszcze raz zastanowić co trzeba zmienić, jak szkolne programy uzupełnić, a co z nich usunąć aby nazwa „świadectwo dojrzałości" nabrała istotnego sensu, aby była bardziej niż dotąd prawdziwa.

MAREK WAWRZKIEWICZ

„KLAPS" nr 8

Z całą satysfakcją oglądaliśmy w ubiegły czwartek 8 numer magazynu filmowego KLAPS nadawanego raz w miesiącu z Łodzi w programie ogólnopolskim. Była to audycja tematycznie nawiązująca do nadanej przed dwoma miesiącami. Tamta mówiła o aktorze filmowym, którym może być człowiek, zwierzę, kukiełka.

Ta zaś pokazywała narodziny aktora filmowego i teatralnego. Przed kamerą prof. Antoni Bohdziewicz i prof. Natalia Szydłowska prowadzili rozmowę o pracy wydziału aktorskiego

Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Aktorskiej im. Leona Schillera w Łodzi. Rozmowa stanowiła jedynie krótkie rzeczowe słowo wiążące. Słuchacze wydziału aktorskiego, wszystkich jego lat, wychowankowie prof. Hanny Małkowskiej, demonstrowali wszystkie ćwiczenia, jakim podlega adept sztuki aktorskiej od pierwszego roku, od pantomimy przedstawiającej jazdę traktorem, poprzez pojedynek łączący już ruch i słowo, poprzez pracę aktora z mikrofonem aż do normalnych przedstawień teatralnych.

W dodatku audycja od strony telewizyjnej, od strony warsztatu zrealizowana była doskonale ze względu na elementy wizualne i — rzecz prosta — na walory osób prowadzących. Jej znaczenie ogólne jest oczywiste. Audycja wskazywała i pokazywała, jak wiele poświęcenia i samozaparcia, jak wiele czasu wymaga opanowanie zawodu aktora.

Od lat tłumaczymy to wciąż młodym ludziom i

ciągle do filmu, do teatrów nadchodzą listy z błędami ortograficznymi: *mam 18 lat chciałabym zostać aktorką filmową. Gdzie się mam zgłosić?*

KLAPS nr 8 raz jeszcze podjął trud wyjaśnienia, raz jeszcze, ale w sposób dosadny i przekonywujący pokazał aktorską rzeczywistość.

W sprawie Klubu Myszki Miki

W sferach pedagogów i rodziców dyskutuje się coraz częściej o cyklicznej audycji nadawanej przez telewizję warszawską z taśm zakupionych w USA, o Klubie Myszki Miki. Dalej tej audycji przedstawiać nie trzeba — oglądają ją wszyscy i dorośli i dzieci tak samo, jak niedzielne odcinki serii Disneyland. Przedmiotem dyskusji jest sprawa ewentualnego wpływu wychowawczego, jaki serwisy klubowe wywrzeć mogą na małych widzów. Mówi się, że jest to propagowanie innego zgoła stylu życia dziatwy szkolnej niż ten, który my w Polsce przyjęliśmy za obowiązujący. A więc jeżeli u nas dzieci w szkole i przedszkolu uczą się tańczyć krakowiaczki i śpiewać piosenki ludowe bądź starannie napisane przez kompozytorów piosenki dziecięce, o tyle w Klubie mali wykonawcy tańczą fokstrotty i boogie-woogie, śpiewają piosenki kowbojskie itd. Zwraca się też uwagę na obcobrzmiące imiona dzieci biorących udział w zabawie, na to że

w rzeczywistości mówią one po angielsku, a speaker musi tłumaczyć tekst, że stanowi to o obcości cyklicznej i chętnie mimo to oglądanej audycji.

Że wreszcie biorąc wzór z dobrego pomysłu wytwórni Walta Disney'a należało raczej stworzyć u nas polską wersję takiego klubu, klubu niekoniecznie myszki Miki.

Wydaje się jednak, że podyskutować na ten temat warto. Ale trzeba pamiętać przede wszystkim o jednym. Nie ma u nas obowiązku oglądania telewizji. Jeśli więc rodzice uznają, że Klub Myszki Miki wywiera zły wpływ na ich dzieci, niechże zamkną telewizor. Czy wywiera taki wpływ? Nie sądzę. Audycje Klubu oprócz wspólnych wesołych zabaw, które też opowiadają o tym, jak żyją i bawią się dzieci w innych krajach, zawierają znaczne i bardzo pouczające serwisy kronik dziecięcych ze świata. Opowiadają i pokazują dziwy przyrody, wreszcie dają świetne krótkie filmy rysunkowe. Nie bójmy się też kowbojskich piosenek skoro ulubioną zabawą naszych młodych lat też byli kowboje i Indianie. A że dzieci biorące udział w Klubie mówią po angielsku — nich zachęci to nasze pociechy do nauki tego języka. A że tańczą wesołe, rytmiczne tańce — cóż szkodziłoby obok krakowiaczków umieć i to?!

I na koniec: czy warto, czy należy i czy można skopiować wzór Klubu Myszki Miki i realizować taką audycję w naszej telewizji rezygnując z taśm amerykańskich?

Naśladować nie warto i nie wypada. Prawdopodobnie niczego podobnego przy naszych możliwościach nie zrealizujemy, a poza tym pamiętajmy, że siła Klubu Myszki Miki leży w tym, iż na półkach archiwum filmowego stoi kilkadziesiąt czy kilkaset pudełek z gotowym, przygotowanym na wiele miesięcy naprzód materiałem filmowym. Siła tkwi w ciągłości cyklu. Tej ciągłości u nas może zabraknąć — mieliśmy nieraz tego dowody. A wtedy rozczarowanie dzieci, żale, pretensje.

Siła klubu Miki tkwi jeszcze w osobie samej myszki. Najpopularniejszej aktorki filmowej świata. A kogoż my mamy? Basię Kwiatkowską?

Z tamtej strony

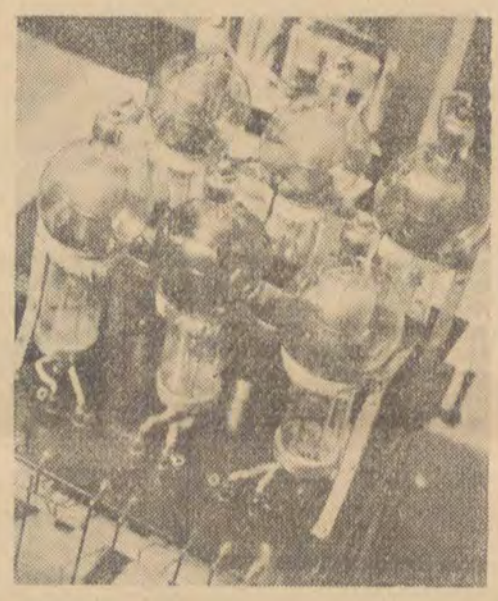

Słuchając radia zastanawiamy się często jak wygląda sprawa od tamtej strony. Nie każdy miał okazję zwiedzić radiostację, nie każdy miał na to czas. Starą rozgłośnię przy ul. Narutowicza łodzianie na ogół znają dobrze. Nowy obiekt położony 29 kilometrów od miasta w pobliżu Tuszyna jest nieco bardziej „zakonspirowany". Oczywiście, motocykliści, rowerzyści czy posiadacze samochodów mogą sobie urządzić wycieczkę w okolice nowej radiostacji. Ale i wtedy prawdopodobnie poza widocznym z daleka masztem nadawczym radia (zdjęcie obok) i ogólną panoramą wzgórza z budynkami nie zobaczą nic więcej.

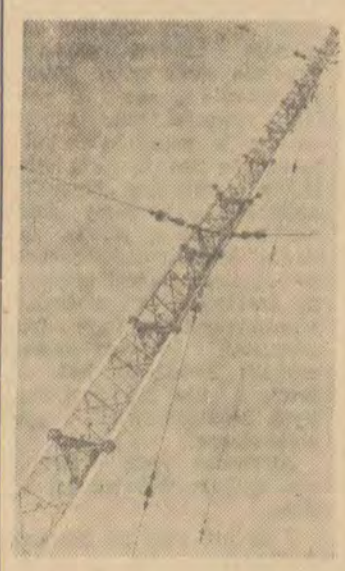

A więc popatrzmy na zdjęcia. Oto szara szafa nadajnika łódzkiego o mocy 50 Kilowatów a pracującego na fali 219 metrów. Przestronna, widna sala wyłożona tworzywem plastycznym. Biurko inżyniera kontrolującego pracę aparatury przez obserwowanie całego szeregu przyrządów pomiarowych. Za tą ścianą żarzą się pod ogromnym napięciem dziesiątki lamp małych i dużych. (zdjęcie dolne).

Oto właśnie jeden z zespołów lampowych nowego nadajnika. Porównajcie z wielkością lamp w waszych odbiornikach radiowych. (zdjęcie górne).

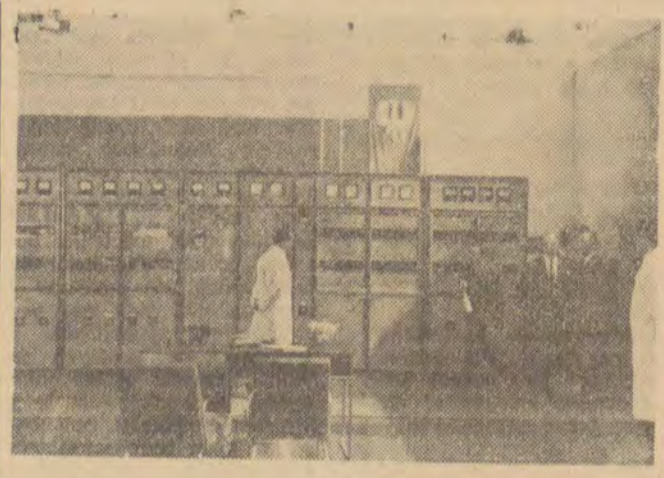

Na marginesie Wyścigu

Odwrót na z góry upatrzone pozycje

Telewizja, podobnie zresztą jak i radio, zrezygnowały z helikoptera. Warczy toto, kiwa się na boki, leci to za wysoko, to za nisko, a z widocznością nie najlepiej. Biedni sprawozdawcy nie mogą rozpoznać umorusanych kolarzy raz po raz plączą się w zeznaniach, widz się wścieka i klnie w żywy kamień, postęp techniczny. Po co ma widz klać postęp techniczny, kiedy można wycofać się na pozycje sprzed kilku lat i po bożemu ustawić kamery na stadionie? Albo dać wieczorem film, kiepski jak ten z etapu Warszawa—Olsztyn, albo odrobinkę lepszy?

Czytelnik ma oczywiście bardziej sprecyzowaną opinię na temat telewizyjnej obsługi Wyścigu, ponieważ słowa te piszemy w piątek, a więc po trzech zaledwie etapach, wydaje się jednak, że specjalnie zachwycony nadal nie jest. Choćby ten film ze środy ubiegłego tygodnia. Krótki, niedbały, fatalnie skomentowany. Nikt chyba z widzów nie był w pełni przygotowany na to, że finisz jaki oglądaliśmy był finiszem etapowym, a nie — powiedzmy — jednym z finiszy lotnych. Komentator z góry sobie założył że wszyscy znamy znakomicie — z meldunków radiowych, rzecz jasna — przebieg walki na trasie i ani się nie pofatygował o oddanie atmosfery zmagań na szosie, czy zanalizowanie posunięć taktycznych poszczególnych drużyn. Ot, ględził sobie metodą „co my widzieli na tym obrazku", odbierając nam największą emocję—możliwość **współuczestniczenia** w walce.

Otóż to — współuczestniczenia. Różnica między filmem z takich czy innych zawodów, a między telewizyjnym sprawozdaniem, polega rzecz jasna na zależnościach czasowych. Coś dzieje się współcześnie, albo coś działo się kiedyś, przed tygodniem czy przed trzema godzinami — to już nieistotne. Dlatego osobiście żal mi helikoptera — świetnie zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę z jego rozlicznych braków, ale braki brakami, a współczesność czasowa — współczesnością. Oczywiście nad podjęciem tak ważącej decyzji musieli radzić nie byle jacy mędrce, ale mimo to wydaje się być ona — łagodnie mówiąc — maloduszna.

A tak przy okazji — ze sprawozdaniami sportowymi w TV w ogóle nie jest najlepiej. Trudno krytykować wybór pozycji jako że niektóre kluby w trosce o kasę rękami i nogami bronią się przed ludźmi z kamerą, ale o taki drobiazg jak o białe piłki — białe, więc widoczne na boisku — ktoś musiałby się chyba raz i na zawsze postarać. A tym „ktosiem" winna być chyba właśnie telewizja — ona jest zainteresowana, nie piłkarze...

TELEwizja

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 11 MAJA BR.

11.00 Program dla szkół: Język polski „Narodziny sceny narodowej (dla klas IX) (W).
11.30 Przerwa.
16.55 Program dnia (Ł. — lok.).
17.00 XIV Kolarski Wyścig Pokoju. Sprawozdanie z zakończenia IX etapu na trasie Lipsk — Karl-Marxstadt. Transmisja z Karl-Marxstadt (przez Katowice).
18.00 Film z serii „Przygody sir Lancelota pt. „Pośrednia rasa" prod. angielskiej (W).
18.30 PKF (W).
18.40 Młodzieżowy program publicystyczny pt. „Sąd udaje się na naradę" (W).
19.30 Dziennik telewizyjny (W).
19.55 Wszystkie dni tygodnia (Ł. — lok.).
20.25 Recital fortepianowy Sadak Gulsecen (Turcja) (W).
20.50 Teatr „Kobra" widowisko sensacyjne pt. „Kryptonim Mściciel" wg J. Janczura (Ł. — ogólnop.).
21.50 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 12 MAJA BR.

17.55 Program dnia (Ł. — lok.).
18.00 Program dla dzieci: Filatelistyka (K).
18.10 Program pt. „Szukamy aktorów wśród dzieci" (Ł. — lok.).
18.25 Songi i wiersze Bertolda Brechta (W).
19.00 Wszechnica TV „Gruczoły, hormony i bioregulacja" — program z cyklu „Historie z tej ziemi" (W).
19.30 Dziennik telewizyjny (W).
19.50 Program publicystyczny (Ł. — lok.).
20.05 Film fab. prod. rumuńskiej „Statek z dynamitem" (Ł. — lok.).
21.30 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 13 MAJA BR.

11.00 Program dla szkół: Geografia „Niespokojna ziemia" dla klas V (W).
11.30 Przerwa.
16.10 Program dnia (Ł. — lok.).
16.15 XIV Kolarski Wyścig Pokoju. Sprawozdanie z zakończenia X etapu na trasie Karl-Marxstadt — Karlove Vary. Transmisja z Karlovych Varów (przez Katowice).
17.15 Sprawozdanie z międzypaństwowych zawodów pływackich Polska — Szwecja (W).
18.25 Telewizyjny kurs motoryzacji (W).
18.45 Program tygodnia (W).
19.00 Program tygodnia (Ł. — lok.).
19.15 Paragraf i fajka (W).
19.30 Dziennik telewizyjny (W).
20.00 „Pegaz" magazyn kulturalny (W).
20.30 Film fab. prod. francuskiej „Zora, Kora i Muszka" (W).
22.15 Ostatnie wiadomości (W).
22.20 „Piosenki francuskie" widowisko rozrywkowe (W).

Sabrina speakerka telewizji brytyjskiej.

NIEDZIELA, 14 MAJA BR.

14.00 „Spacer w aleje" — reportaż (W).
14.30 Teatrzyk dla przedszkolaków (W).
15.00 Niedzielna Biesiada (Ł. — ogólnop.).
16.00 Estrada Poetycka (W).
16.30 Film z serii Disneyland „Nowości poetyckie" (W).
17.20 Sprawozdanie z międzypaństwowego meczu piłki nożnej CSRS — Szkocja. Transmisja z Bratysławy (K).
18.15 Kronika Ziemi Łódzkiej (Ł. — lok.).
18.45 „Wyrazy obce" teleturniej (W).
19.45 Dziennik telewizyjny (W).
20.30 „Człowiek bez jutra" film fab. prod. włoskiej (W).
21.55 Film krótkometrażowy (Ł).
22.15 Wiadomości sportowe: reportaż filmowy z Pragi Czeskiej (zakończenie XIV Kolarskiego Wyścigu Pokoju) (K).

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O PRACY W AMATORSKIM ZESPOLE TEATRALNYM POWIEDZIELI NAM:

P. ZYGMUNT GAJDA

Praca z zespolem amatorskim jest bardzo interesująca jakkolwiek i trudna. Wymaga od reżysera wiele własnej inwencji i zrozumienia aktorów. Niemniej jednak wyniki pracy wynagradzają całe jej trudy.

P. ZOFIA MARCINIAK

Praca w zespole amatorskim wymaga od aktora-amatora dużej dozy wytrwałość oraz zdyscyplinowania. Świeżo upieczonemu adeptowi sztuki aktorskiej dużą trudność sprawla przyzwyczajenie się do swobodnego poruszania się na scenie oraz umiejętność nawiązania kontaktu z widownią. Współpraca z reżyserem pomaga usunąć tremę.

P. JERZY PYFEL

Jako dla nauczyciela praca w zespole amatorskim jest dla mnie bardzo ciekawa. Daje bowiem dużo korzyści w pracy zawodowej. Zdobyta w ten sposób wiedza umiejętnie przekazana wychowankom pozwala wzbudzić u nich większe zainteresowanie się tą dziedziną kultury nie tylko w charakterze konsumenta. Uważam, że bardzo wskazane byłoby większe spopularyzowanie ruchu amatorskiego wśród młodzieży szkolnej, zwłaszcza w ośrodkach, które nie posiadają zawodowych zespołów teatralnych. Ożywiłoby to znacznie martwą dotychczas atmosferę w tychże ośrodkach.

Rozmawiał: **LUW**

informacje i zaczepki

● Pierwszomajowa „Trybuna Ludu" zamieściła kolumnę materiałów poświęconych problematyce naszego miasta — szkoda tylko, że niewiele miejsca zajęły na rzeczonej kolumnie sprawy kultury, tak istotne właśnie w Łodzi. ● Bardzo nam się podobała piosenka Michała Targowskiego pt. „Łódzkie kwiaty" spopularyzowana ostatnio przez expressowe spotkania z piosenką — niestety, jak to często bywa, tekst nie jest szczytem literackiego kunsztu. ● Warto obejrzeć ciekawą wystawę „Z dziejów włókiennictwa łódzkiego" — eksponowaną od początku maja w Muzeum Historii Włókiennictwa. ● Niedawno Klub Międzynarodowej Prasy i Książki zorganizował ciekawy koncert współczesnej muzyki bułgarskiej — melomani dziękują i proszą o dalsze interesujące wieczory tego typu. ● Wygląda na to, że ostatnio panuje moda na Łódź — również i warszawska „Nowa Kultura" poświęciła swój pierwszomajowy numer literackim sprawom naszego miasta. ● Ostatnio popularna „Karuzela" doczekała się wydania w języku rosyjskim — realizatorem tego ciekawego przedsięwzięcia jest redakcja „Głosu Rosyjskiego". ● Z inicjatywy Uniwersytetu Łódzkiego i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zorganizowano w naszym mieście sesję naukową poświęconą 60 rocznicy leninowskiej „Iskry". ● W Łodzi gościliśmy niedawno znakomitą skrzypaczkę Wandę Wiłkomirską, znanego radzieckiego reżysera filmowego G. Kuźniecowa oraz popularnego „Kisiela" — Stefana Kisielewskiego; jak widać same znakomitości. ● Kilka dni temu otwarto w Ośrodku Propagandy Sztuki wystawę prac nagrodzonych na konkursie „Łódź w plastyce" — warto ją obejrzeć. ● Znów pokazały się na szybach łódzkich sklepów przeokropne napisy „reklamowe" — przypominające jako żywo twórczość odpustową pierwszej próby. ● Robotniczy Teatr Poezji (jedyny w Polsce) przy ZPB im. Armii Ludowej przygotowuje program poświęcony Łodzi. ● W konkursie na wiersz ogłoszony w związku z Festiwalem Kultury Studentów przez Radę Naczelną ZSP — I nagrodę otrzymał łódzki poeta Konrad Frejdlich.

WIL.

Piórkiem po aktualnościach

W tym samym dniu, w którym prasa doniosła o locie w kosmos majora Gagarina, zamieszczono również wiadomość o rakiecie wystrzelonej na Pustyni Błędowskiej. W zasobniku rakiety znajdowały się — rzecz nad wyraz znamienna — dwie białe myszki. W tej sytuacji należy przypuszczać, że za paliwo posłużyła rakiecie nasza narodowa mieszanka spirytusowa.

* * *

Któregoś z minionych niedawno dni, o godzinie trzeciej nad ranem, Aleje Kościuszki stały się areną iście cyrkowego widowiska. Oto samochód marki „Spartak", wioząc pięcioosobowe pijane towarzystwo, wywrócił się do góry kołami i w takiej wyszukanej pozycji przejechał jeszcze kilkanaście metrów, aż ugodził maską w drzewo.

Ponieważ po pierwsze — działo się to w pobliżu słynnego lokalu SPATIF-u, po drugie — do opisanego sposobu jazdy potrzeba odrobiny fantazji właściwej artystom, i po trzecie — pasażerowie „Spartaka" wyszli z opresji cało, domniemywaliśmy, że tymi pasażerami byli właśnie bywalcy SPATIF-u. Spotkało nas jednak przykre rozczarowanie. Wóz prowadził — jak się okazało — ob. L. S., z zawodu — technik dentystyczny.

* * *

W numerze 3 „Twórczości" znaleźliśmy opowiadanie Stanisława Czycza pt. „And". Poeta, wybierając się na Festiwal Zaczynających Pisać i Zapowiadających Się, relacjonuje:

„...dopiero gdy byłem blisko domu Anda, uświadomiłem sobie, że idę do niego, aby jechać na ten zjazd, że przecież już w domu, u siebie, ubierając się, musiałem o tym myśleć, przecież te jakieś drobne przygotowania: teksty, szczoteczka do zębów, paczka kondonów..."

Ciekawi jesteśmy, w jakim celu poeta wziął na zjazd szczoteczkę do zębów?

* * *

Na łamy prasy codziennej i tygodników trafiają coraz częściej ogłoszenia reklamowe, które są właściwie małymi poematami — oraz wzruszające rymowane zalecenia. Niedawno znaleźliśmy takie oto zalecenie z zakresu higieny osobistej:

„Chcesz być zawsze zdrowia wzorem —
myj się rano i wieczorem!"

Zalecenie to ma pewną lukę i dlatego też proponujemy uzupełnić je następująco:

„Gdy wyglądać chcesz przecudnie —
myj się nocą i w południe!"

albo też:

„Gdy ci w głowie klepka trzasła —
pisuj rymowane hasła!"

T. G-r

PRZEPRASZAMY kol. Romana Łobodę za pominięcie jego nazwiska w składzie nowego Zarządu Oddziału Łódzkiego Zw. Literatów Polskich w nocie zamieszczonej w poprzednim numerze „Odgłosów" („Informacje i zaczepki").

Ryszard Doroba

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1256 V. L-12

Dowcipy o muzyce

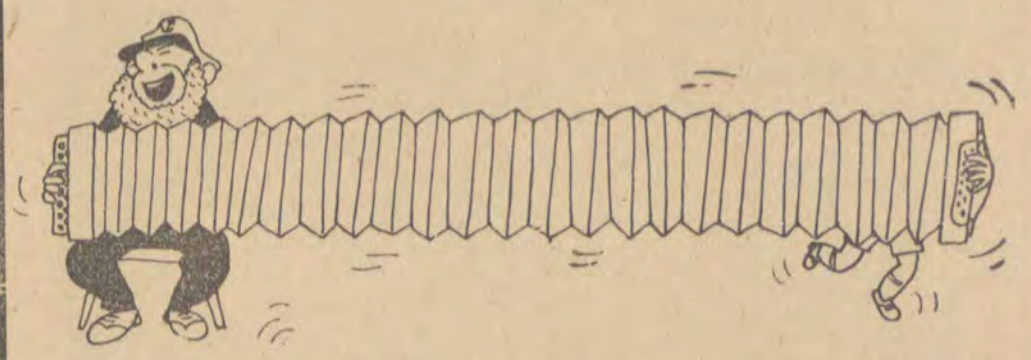

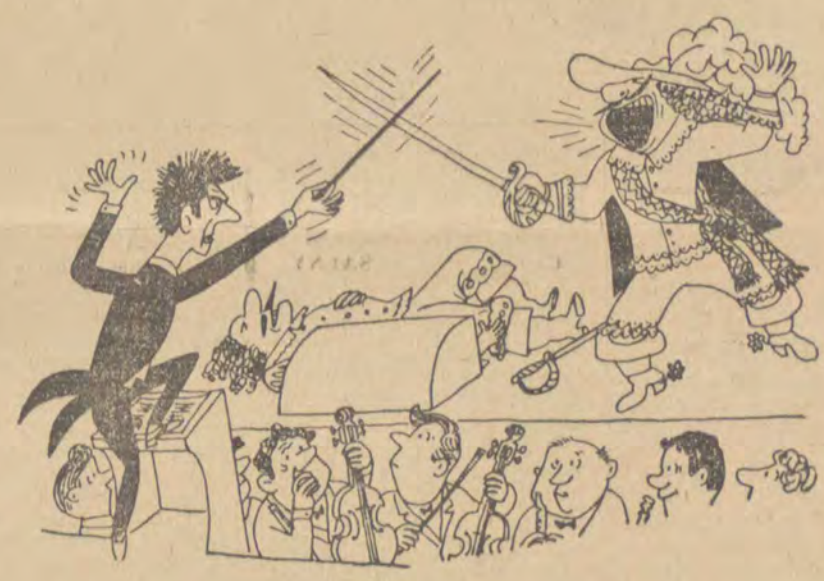

NASZA KRZYŻÓWKA

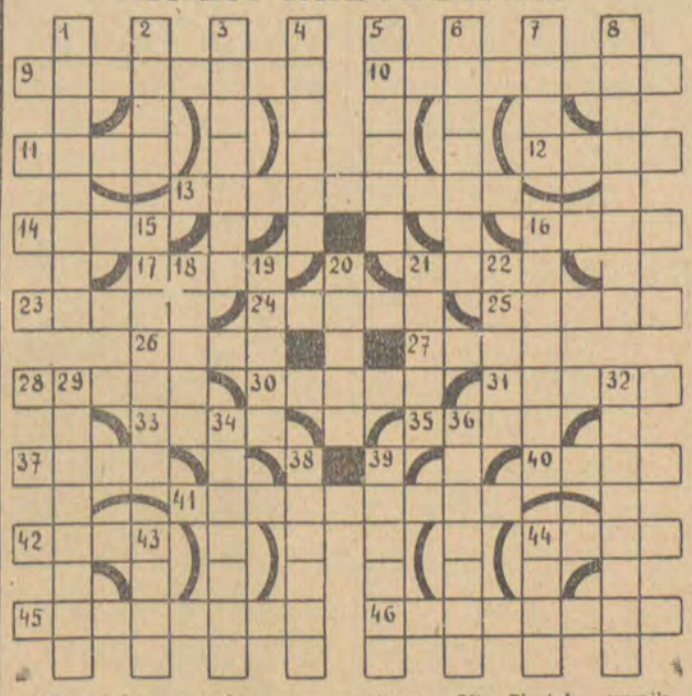

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 9) Ryba z rodziny śledziowatych, 10) Twierdzenie przeciwstawne, 11) Przezroczysta tkanina, 12) Przystań, 13) Środkowa część Półwyspu Bałkańskiego, 14) Mechanizm zegarka, 16) Skorupiak, 17) Papiery urzędowe, 21) Jedyne, samotne, 23) Błoto, 24) Jodła karpacka, 25) Odmiana malarstwa abstrakcyjnego, której twórcą był W. Strzemiński, 26) Rzeka we Włoszech Środkowych, 27) Gatunek papugi, 28) Potrawa mięsna, 30) Skutek, wynik, wrażenie, 31) Odpowiednio wyprawiona miękka skóra o włochatej powierzchni, 33. Produkt z węgla kopalnego, 35) Rodzaj mgły, 37) Imię żeńskie, 40) Liczba, 41) Obelga, znieważa słowna, 42) Tętno, 44) Zwierzę futerkowe, 45) Osoba występująca w teatrze w rolach przeważnie niemych i nie wchodząca w skład działających postaci scenicznych, figurant 46) Wybryk, swawola; ryzykowna lekkomyślna wyprawa.

Pionowo — 1) Zestawienie, porównanie, 2) Rzeka w Polsce, 3) Przerwa między aktami przedstawienia teatralnego, 4) Jednostka pomiarowa przestrzeni międzygwiezdnych, 5) Tektura, 6) Warszawa, 7) Aliaż, 8) Taniec węgierski, 15) Tartynka, 16) Lubi konie, 18) Szeroka, piękna ulica miasta będąca miejscem spacerów i przejażdżek, 19) Roślina zielna lub drzewiasta o mięsistych liściach; symbol smutku i goryczy, 20) Jednostka natężenia prądu elektrycznego, 21) Koziołek w powietrzu, 22) Przed nazwiskiem: tytuł uczonego, po nazwisku — tytuł książęcy, 29) Przysmak kulinarny, rak morski bez kloszczy, 32) Utwór muzyczny o swobodnej formie 34) Ubiór staropolski, 36) Osłania oko, 38) Słodycz, 39) Zegarek stosowany w technice i sporcie, 43) Służy do przesiewania mąki, 44) Pięć tuzinów.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z N-RU 11

POZIOMO — Szczepan, fonogram, kulfon, piston, Uran, metr, Szampania, Drawa, karaś, Amado, tafla, pinia, opoka, motet, Opole, aerologia, step, kran, porter, litera, integrał, adiutant.

PIONOWO — sztufada, zdun, agona, Orion, grom, metronom, kantar, nektar, szalamaja, arabinoza, kilim, świat, Koluszki, postęp, kotara, remanent, rzepa, gwizd, pole, kret.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. FRANCISZEK ŁUKASZEWICZ, Pabianice, ul. Warszawska 121 m 2.

2. JANUSZ DERECKI, Czarna Woda, Zakłady Płyt Pilśniowych, pow. Starogard Gdański.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka historyczna. Mimo to, zadaniem Czytelników będzie odgadnąć prawidłowe liczby. Do tego jednak potrzebna jest znajomość historii. A zatem:

1. Ilu Bolesław Krzywousty miał synów?
a) ośmiu?
b) czterech?
c) pięciu?

2. Ilu królów o imieniu Kazimierz rządziło w Polsce?
a) dwóch?
b) czterech?
c) jeden?

3. Prawo miejskie otrzymała Łódź w wieku:
a) XIII?
b) XV?
c) XVIII?

4. Ile lat trwała wojna Polski z Zakonem Krzyżackim rozpoczęta w 1454 roku?
a) trzynaście?
b) siedem?
c) trzydzieści?

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie tygodniowym wyłącznie na kartkach pocztowych. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane będą nagrody książkowe.

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW".

Fot. J. Kopeć

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Dobrze o nas mówili

Wyjątkowo, raz do roku, z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy pozwalamy sobie zastosować samochwalczą metodę „Przekroju". Czyli w ubiegłym tygodniu dobrze o nas mówili:

„NOWA KULTURA" (Nr 18) piórem Barbary Seidler w obszernym reportażu o Łodzi pt. „Miasto niekochane?".

NOWA KULTURA

dookoła świata

„Jeśli już jesteśmy przy środowisku literackim, słów kilka należy się „Odgłosom" Jest to łódzki tygodnik społeczno-literacki. Tygodnik ten powstał na gruzach „Kroniki" redagowany jest przez bardzo nieliczny, pięcioosobowy, młody zespół. Redagowany jest, jak wyraził się jeden z moich kolegów redakcyjnych, trochę „kulisowo". Ale na obronę „Odgłosów" podam tylko jeden fakt: w Łodzi, 700-tysięcznym mieście, rozchodzi się niecały tysiąc egzemplarzy „Nowej Kultury" i „Życia Literackiego" (w sumie). Więc społeczno-literacki tygodnik musi być popularny i łatwy. I wtedy ma zapewniony zbyt. A „Odgłosy" rozchodzą się dobrze. To prawda, nie drukują zbyt trudnej prozy i poezji. Bo redaktorzy powiedzieli sobie: „robimy pismo dla Łodzi". Stąd kontrowersje ze środowiskiem. Bo dłuższe i trudniejsze utwory nie mieszczą się w „Odgłosach". Tam można debiutować. I debiut „Odgłosy" umożliwiają. A dalej? Dalej jest rzeczywiście nie różowo. Bo pozostają pisma stołeczne. A tam nie najłatwiej się dostać. Ale mimo tych kontrowersji i sporów, mimo nie rozwiązanej jeszcze kwestii: „gdzie publikować utwory trudniejsze lub eksperymentalne?", wydaje mi się, że „Odgłosy" postawiły na dobrego, zdrowego konia. I mają ambicje. Niech świadczy o tym zorganizowany ostatnio konkurs zamknięty dla najlepszych reporterów z całego kraju na „Opisanie Łodzi". Jeśli się konkurs powiedzie, będziemy mieli niedługo pierwszy po 100 latach wierny opis miasta.

zamieszczając pewną familijną fotografię:

„Pół setki reporterów z Warszawy, Krakowa i Łodzi stawiło się na zaproszenie MRN w Łodzi oraz redakcji tygodnika „Odgłosy" do pierwszego w dziejach prasy polskiej, oryginalnego turnieju na „Opisanie Łodzi". Każdą z 23 dzielnic tego miasta wylosował jeden reporter przyjezdny i jeden miejscowy. Zadanie konkursu polega — jak sama nazwa wskazuje — na napisaniu reportażu o wylosowanej dzielnicy. Reprezentacja „dookoła świata" w składzie: Andrzej Berkowicz, Stefan Bratkowski i Wojciech Giełżyński nie jest (na wszelki wypadek) zadowolona z wyników ciągnienia: przypadły jej dzielnice „nietypowe". Dziennikarze innych redakcji twierdzą natomiast, że nie ma nic gorszego, niż dzielnica „typowa" — jak Bałuty, Widzew czy Chojny. Wszyscy więc narzekają na ślepy los i ostrzą pióra (i zęby) na nagrody".

Też politvka

Ksiądz proboszcz parafii w Marysinie, przybił na tablicy w kruchcie kościoła następującą listę filmów dozwolonych dla młodzieży:

1.	Błękitna strzała	radziecki
2.	Dziewczyna z gitarą	„
3.	Gdy zamilkły działa	„
4.	Kurier carski	jug.-franc.-włoski
5.	Łowcy tygrysów	radziecki
6.	Marynarz z Komety	„
7.	Mężczyzna w spodenkach	włoski
8.	Weseli współlokatorzy	radziecki
9.	Złamana strzała	amerykański
10.	Ogniste wiorsty	radziecki
11.	Ballada o żołnierzu	„
12.	Krzyżacy	polski
13.	Niewysłany list	radziecki
14.	Komandorzy	„
15.	Zakazane piosenki	polski
16.	Czapajew	radziecki
17.	Ali Baba i 40 rozbójników	francuski

Rozumie się samo przez się, że kto obejrzy inne filmy, pójdzie do piekła.

WYPADKOWY MIESIĄC

Jest nim właśnie maj. Wynika to niezbicie ze statystyk, wykresów i analiz Łódzkiej Komendy Ruchu MO. W maju 1960 r. zanotowano w Łodzi 72 ciężkie wypadki. Inne wypadkowe miesiące w kolejności: lipiec (66), grudzień (55 — wiadomo, gołoledź) i wrzesień (43 — powroty z wakacji). Najbardziej wypadkowe dni, to 10, 20 i 30 każdego miesiąca (wiadomo — wypłaty) oraz piątki (nie dlatego, że feralne, ale dlatego, że targowe).

„Szczyt" wypadków notuje się w godzinach między 15 a 18 oraz między 12 a 15.

Najwięcej wypadków zdarza się na ulicach: Piotrkowskiej, Sienkiewicza, Kilińskiego, Al. Kościuszki i Głównej. Są to wypadki, w których straty materialne bądź odpowiedzialność cywilna przekracza 1000 zł. Ulicą wypadków śmiertelnych jest Pabianicka. W ogóle wypadki śmiertelne skupiają się na arteriach niekontrolowanych, tzw. krańcówkach.

Powyższe podajemy nie tylko gwoli przestrogi, lecz także gwoli pochwały metod pracy Komendy Ruchu MO, które są coraz bardziej precyzyjne. Już nie na „pi razy oko" ale według ścisłych obliczeń mechaniki ruchu drogowego obsadza się stanowiska robocze ludźmi w niebieskich mundurach, w białych czapkach, z białymi mankietami. Rezultat — zahamowanie wzrostu liczby wypadków mimo dynamicznego i ciągłego wzrostu liczby pojazdów mechanicznych na ulicach miasta. Oczywiście rezultat ten wynika i z innych, nowych metod pracy służby drogowej MO, o których innym razem.

„Żelazny" świadek

W czasie procesu groźnej szajki rabunkowo-terrorystycznej, która działała na terenie Łodzi w ciągu ostatnich kilku lat obrońca oskarżonego Zdzisława Sikorskiego złożył wniosek o dopuszczenie jeszcze jednego świadka. Sąd Wojewódzki uwzględnił wniosek obrony.

Świadka Andrzeja Zawistowskiego doprowadzono z więzienia, gdzie oczekuje na rozprawę za udział w napadach, pomówienie prokuratora i obrazę funkcjonariusza MO. Zawistowski przytoczył przebieg pewnego wydarzenia, które odciąża w poważnej mierze Sikorskiego. Po bliższym zbadaniu tej sprawy okazało się, że Zawistowski przez kilka dni przebywał w jednej celi właśnie z Sikorskim! Miał więc okazję do porozumienia się...

W czasie przemówienia stron obrońca Sikorskiego starał się dowieść, że Zawistowski jest „żelaznym" świadkiem...

Zaopatrzeniowcy

Starszy referent zaopatrzenia ZPB im. Obrońców Westerplatte — Tadeusz P. zamawiał w sklepach MHD drogie artykuły techniczne. Do magazynu sprowadzał jednak znacznie tańsze. Fabryka płaciła oczywiście za towary faktycznie zamówione. W sprzedaży nadwyżek pomogli mu kierownicy i ekspedienci uspołecznionych sklepów. Takie postępowanie zaprowadziło kilka osób na ławę oskarżonych, a odnośnym władzom pozwoli na odkrycie jeszcze jednej nowej techniki dokonywania przestępstw.

System ten został już udoskonalony przez zaopatrzeniowców z innego wielkiego przedsiębiorstwa działającego w Łodzi. W tym wypadku aferzyści w ogóle nie dostarczali narzędzi i artykułów technicznych do magazynu fabrycznego. Sklepy na podstawie zlecenia wystawiały fakturę, fabryka płaciła, a towar był po raz drugi sprzedawany, ale tym razem już na prywatny rachunek. Pomysłowymi zaopatrzeniowcami zaopiekował się już prokurator.

Moto-buble

Polska plastyka użytkowa święci już od dawna triumfy na całym świecie. Nasze plakaty, książki, dywany cieszą oczy harmonią barw i pięknie dobranymi kolorami. Niestety, w dziedzinie motoryzacji plastyk jeszcze nic nie ma do powiedzenia. Dowód? Samochody marki „Syrena", które w tym roku nadchodzą do łódzkiego „Motozbytu", mają tak fatalnie dobrane kolory nadwozia, że stoją całymi tygodniami i nie ma „odważnych" na ich odebranie. Nie pomagają żadne interwencje, warszawska Fabryka Samochodów Osobowych nie zatrudnia plastyka i ma swoje, jakże „specyficzne" zdania w dziedzinie kolorów.

P.S. Dowiadujemy się, że F.S.O. zatrudnia plastyka, tylko... daltonistę.

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW".

Fot. Z. Zochowski